Nr. 7. Kraków, 1 Kwietnia 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek ekonomiczno-przemysłowy.

Od Administracyi.

Przypominamy Sz. Prenumeratorom kwartalnym, że czas odnowić przedpłatę, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu naszego pisma.

FUNDACYA IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI.

W swoim czasie pomieściliśmy w *Myśli* odezwę komitetu, reprezentowanego przez pp. Edmunda Mochnackiego, Tadeusza Romanowicza i Wojciecha Dzieduszyckiego, w której, ze względów natury politycznej, zaleconem było powstrzymanie się od demonstracyjnego obchodu żałoby narodowej, w stuletnią rocznicę drugiego rozbioru Polski i zastąpienie manifestacyj czynami, świadczącemi o naszej sile narodowej i wewnętrznej pracy około podniesienia oświaty polskiego ludu.

Wówczas już zakiełkowała myśl pamiątkowego uczczenia im. Męża, który był wyobrazicielem najpodnioślejszych ideałów Polski. Myśl ta przybrała już formy konkretne.

We Lwowie utworzył się komitet, złożony z licznego grona najpoważniejszych obywateli wszystkich stanów, który przystępuje do stworzenia narodowej fundacyi im. Tadeusza Kościuszki.

Co do szczegółów ukonstytuowania się owego komitetu donoszą nam ze Lwowa:

W sali ratuszowej odbyło się zebranie komitetu, zaproszonego przez prezydenta miasta p. Edmunda Mochnackiego, celem obmyślenia sposobu uczczenia setnej rocznicy drugiego rozbioru Polski. Na zgromadzenie przybyli prócz posłów, przedstawiciele rozmaitych zawodów, mieszczaństwa i prasy. Zebranie zagaił stosownem przemówieniem p. prezydent Mochnecki, któremu poruczono przewodnictwo w obradach, i powołał na sekretarzy pp. Gubrynowicza i dra Godzimira Małachowskiego. Na wniosek Wojciecha hr. Dzieduszyckiego uchwalono zawiązanie komitetu oświaty ludowej imienia Tadeusza Kościuszki. Prezesem wybrano księcia Jerzego Czartoryskiego, zastępcami prezesa: Stanisława hr. Badeniego i p. Edmunda Mochnackiego. Następnie przystąpiono do wyboru dwunastu członków komitetu wykonawczego. Wybrani zostali pp. Bratkowski, W. Dzieduszycki, dr. Goldman, Gorajski, A. Małecki, dr G. Małachowski, Męciński, T. Romanowicz, dr. Skałkowski, Stanisław hr. Stadnicki, ks. Zabłocki, Fr. Zima. Komitet wykonawczy zajmie się wydaniem stosownej odezwy i uzyskaniem pozwolenia rządowego na zbieranie składek. Członkowie komitetu wykonawczego są upoważnieni do przyjęcia do swego grona osobistości, które uznają za odpowiednie.

W skład obszerniejszego komitetu wchodzą pp.: Amborski, Asnyk, Stanisław hr. Badeni, Bratkowski, Chamiec, Chrzanowski, Jerzy ks. Czartoryski, Wojciech hr. Dzieduszycki, Dembowski, Dzikowski, Franke, Gubrynowicz, Gorajski, dr. Goldmann, Getritz, Głodziński, dr. Hiszberg, ks. arcybiskup Issakowicz, Janowski, Włodzimierz hr. Koziebrodzki, dr. Kubala, Kramarczyk, dr. Witołd Lewicki, Lange Kazimierz, dr. Loewenstein, Mochnacki Edmund, Męciński, dr. Marchwicki, Michalski, dr. Maryański, dr. Małachowski, dr. Małecki, Matecki, Merunowicz, dr. Ostaszewski-Barański, Polanowski, dr. Pilat Tadeusz, Piepes, Pepłowski Stanisław, Popowski, Potoczek, dr. Rutowski, Rajski, Romanowicz, dr. Radziszewski, Rawer, Rewakowicz, Szeremeta, Szczepanowski, dr. Skałkowski, ks. Sanguszko marszałek krajowy, ks. Adam Sapiecha, Stan. hr. Stadnicki, hr. Tarnowski Stanisław, dr. Vogel Aleksander, Zajączkowski Liberat, Zima Fr., ks. Fr. Zabłocki, dr. Zgórski.

REFORMA WALUTY W AUSTRO-WĘGRZECH.

II.

Zadanie państwa w dziedzinie monetarnej może być dwojakie ze względu na to, czy ono ustanawia przepisy ekonomiczno-techniczne, oznaczając wagę, objętość i zawartość pieniądza, czy też ustanawia przepisy prawne, oznaczając jakie jednostki pieniądza zwalniają od zobowiązań. W tym ostatnim wypadku może państwo drogą ustawodawstwa ustanowić walutę monometaliczną (jednometaliczną) i to tylko srebrną lub tylko złotą, albo walutę bimetaliczną (dwumetaliczną) i to czystą lub ułomną albo wreszcie walutę papierową. Ta ostatnia góruje teraz w Austro-Węgrzech de facto pomimo, że odnośne ustawy zasadniczo srebrną zaprowadzić chciały walutę. I tak stanowi patent cesarski z 19 września 1857 r. L. 169 Dz. u. p., że z funta srebra bije się 45 guldenów w. a., i że jeden gulden jest jednostką monetarną. Rozporządzenia zaś cesarskie z roku 1858 wprowadzają walutę papierową a rozporządzenie ministeryalne z roku 1879 zamyka mennicę austryacką dla użytku prywatnego. Brakło tedy potrzebnego w stosunkach ekonomicznych regulatora, jakim jest prawo bicia monety na rachunek prywatny, następstwem czego było ograniczenie monet srebrnych guldenowych do tej ilości, jaką państwo samo wytłoczyło, i rozwielmożenie się państwowych i bankowych not papierowych.

Pieniądz powinien być uniwersalnym środkiem wypłaty. Tej zasadzie waluta austryacka nie odpowiada, przy wymianie bowiem między-narodowej muszą kupcy austryaccy swój pieniądz papierowy zamienić na kruszec, zakrajowi kruszec lub swój pieniądz papierowy na austryacki pieniądz papierowy a nadto kurs papieru jako surogata pieniądza zależy od chwiania się kursu wekslowego powyżej i poniżej pari (nominalnej wartości). Chwianie się kursu wekslowego sprowadza zaś niepewność obrotu i tamuje handel międzynarodowy.

Znaczenie guldena opiera się na kredycie państwa. Fluktuacya wartości guldena zależy od wszystkich czynników, wpływających na kredyt państwa a więc tak od stosunków wewnętrznych finansowych, jak i od stosunków zewnętrznych politycznych. To aleatoryczne położenie waluty austryackiej wyradza nową niepewność i brak ciągłości w rzetelnych usiłowaniach podniesienia gospodarstwa społecznego i siły ekonomicznej państwa.

Obecnie z powodu dobrego bilansu handlowego — wywóz bowiem przewyższa dowóz — i z powodu dobrego położenia politycznego monarchii, wzrósł kredyt jej a wraz z nim i wartość guldena papierowego, nawet ponad ekwiwalent srebrnego. Ale stan to nie pewny, zachwianym on być może wraz ze zmianą chwilowego położenia politycznego, lub innych czynników natury ekonomicznej. A wtedy widmo bankructwa i stagnacyi w każdej gałęzi gospodarstwa społecznego staje przed oczyma dalej i głębiej patrzącego.

Reforma obecna ma być lekiem na chorobliwy stan waluty austryackiej. Ale jak lekarz oględnym być musi w rozpoznaniu choroby i zastosowaniu środków leczniczych, i stosownie do wyników sumiennego rozpoznania winien albo natychmiastowy skuteczny lek przepisać albo lepiej przedłużyć okres rozpoznania i starannie dobierać leki, tak i ustawodawca w dziedzinie monetarnej winien z wszelką starannością badać wszelkie dane pro i contra a rozważywszy rzecz należycie pójść drogą, którą uzna za najlepszą, choćby trzeba było porzucić poglądy swe a priori powzięte.

Korzystny bilans handlowy, świeżo zawarte traktaty handlowe z wieloma państwami Europy, równowaga budżetu państwowego, pomyślne położenie polityczne i postęp rozwoju gospodarstwa społecznego obudziły już od dłuższego czasu nadzieję tak sfer interesowanych przemysłowo - kupieckich jak i menerów skarbowych Austro - Węgier, by okres bezładu monetarnego rychło zakończyć. Pierwsze usiłowania i kroki przygotowawcze poczynił już dawny minister skarbu Dr. Julian Dunajewski. W ostatnich czasach sprawa tak dalece dojrzała, że obecny mi-

nister skarbu Dr. Steinbach wraz z ministrem skarbu węgierskiego drem Wekerlem odbyli w Wiedniu kilka wspólnych konferencyi a doszedłszy widocznie do zgody co do głównych punktów przyszłej reformy, wezwali dwie odrębnie obradujące ankiety, w których obok reprezentantów teoryi, było wielu ludzi zawodowych. Dla ankiet przygotowano kwestyonaryusz, obejmujący bogaty materyał do zbadania stosunków monetarnych monarchii i wszystkich cywilizowanych państw.

III.

Dnia 8 marca otworzył minister Dr. Steinbach ankietę walutową w Wiedniu, w obecności ministrów: Prażaka, Schönborna, Kuenburga i szefa sekcyjnego w ministerstwie skarbu Dra Böhm-Bawerka, któremu też powierzył przewodnictwo. Członkowie ankiety zebrali się wszyscy, oprócz jednego, w liczbie 35. Polaków było trzech: Dr. Józef Milewski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr. Alfred Zgórski, dyrektor banku krajowego we Lwowie i Dr. Tadeusz Pilat, profesor uniwersytetu lwowskiego.

Ankiecie przedłożył minister skarbu oprócz materyału historyczno-statystycznego 5 pytań szczegółowych:

1. Jaki system ma być podstawą reformy?
2. Czy, w razie przyjęcia waluty złotej, ma również być w obiegu stale oznaczona ilość srebra i jaką ma być ta ilość?
3. Czy należałoby puścić w obieg pewną ilość not państwowych, nie mających kursu przymusowego i w każdej chwili zamiennych na monetę obiegową, i pod jakimi to warunkami nastąpić może?
4. Jakich zasad relacyjnych należałoby się trzymać przy zamianie obecnego guldena na złoto?
5. Jaką należałoby obrać jednostkę monetarną?

Na powyższe pytania mogli członkowie ankiety odpowiedzi dawać lub od takowych się wstrzymać; mogli i zmienić w ciągu obrad swoje zapatrywanie a nadto wszczynać dyskusyę nad nowo nasuwającymi się problematami, po zdaniu sprawy każdego z członków. (C. d. n.)

Julian G.

SIGNUM TEMPORIS*).

Ktokolwiek bacznie śledził wypadki polityczne ostatnich lat kilku, ten nie mógł nie dostrzedz, że jednem z bardzo wybitnych znamion współczesnej epoki jest d ą ż n o ś ć d o u s u n i ę c i a p o t ę ż n y c h i n d y w i d u a l n o ś c i. Wystarczy przytoczyć choćby kilka faktów, aby stwierdzić powyższe zdanie. Upadek Bismarka w Niemczech, Tiszy na Węgrzech, Crispi'ego we Włoszech, a świeża dymisya Constans'a we Francyi — to nie skutki chwilowych zawikłań lub rychło przemijających sytuacyj; to wypadki dziejowe, mające prócz wielu a wielu przyczyn, które zbada przyszły historyk — jeszcze jednę przyczynę, podpadającą pod sąd historyozofa.

Nie należymy do bezwzględnych zwolenników teoryi Taine'a o przyczynowości w dziejach narodów, ale nie uznawać, że zachodzi wewnętrzny związek pomiędzy wypadkami dziejowemi — a takimi są wyżej przytoczone — byłoby niedorzecznością. Nikomu nie przyjdzie zapewne na myśl przypuszczać, że upadek Bismarka pociągnął za sobą upadek Crispi'ego lub Tiszy, ale nikt także nie może zaprzeczyć, że wypadki te należy uważać za przejawy ogólnych prądów, nurtujących społeczeństwa europejskie doby współczesnej. W liczbie tych prądów jest także ten, o którym na początku mówiliśmy.

Jeżeli cesarz Wilhelm II. wyzwala się z pod wpływu żelaznego kanclerza — to uważamy to za zwykły objaw młodzieńczej krewkości i energii. Jeżeli Crispi we Włoszech ustępuje mimo ogromnych zasług, jakie dla kraju położył — to uważamy to za skutek zmienionej sytuacyi parlamentarnej, podobnie jak chwilowej sytuacyi politycznej przypisujemy upadek Tiszy czy Constans'a. Historyozofia jednak, szukając wszędzie psychicznego związku a odrzucająca teoryę przypadkowości, zesumuje te fakta i oznaczy wzajemny ich stosunek. Przytem zada sobie takie pytania: pod jakim względem różnił się polityczny program pp. Szapary'ego i Rudini'ego od programu Tiszy i Crispi'ego? Fakta uczą, że pod żadnym. Dlaczegóż więc ustąpili ci ostatni miejsca tamtym, jakkolwiek zdolności i zasługi ich były większe? Gabinet Loubet'a przedstawił się izbie francuskiej z takim samym programem, jaki miał poprzedni gabinet Freycinet'a, w którym zasiadał Constans, pocóż więc była zmiana? Na to odpowie sobie historyozofia: Bismark, Tisza, Crispi i Constans byli jednostkami zbyt wybitnemi — a prąd czasu dążył do usunięcia wybitnych jednostek — więc zmiótł ich jak tylu innych.

Sądzimy, że samo przytoczenie faktów potwierdza nasze zdanie, że epoka współczesna nie jest — bo być nie chce — epoką potężnie rozwiniętego indywidualizmu. Precz z indywidualizmem! — woła proletaryat, a za nim cała Europa. Okrzyk ten sięga bardzo wysoko — bo aż do tronu. Na cesarskie słowa: *sic volo, sic iubeo!* i *suprema lex-regis voluntas!* odpowiadają: *Wir opponieren dennoch!* — a ten sam monarcha, który nie zniósł oporu wszechwładnego kanclerza — musi napotkać na opór narodu. Bo ten sam prąd, który skłonił go do usunięcia Bismarcka, popchnął naród do przeciwstawiania własnej woli — woli jednostki, choćby ta jednostka, Bóg wie jak wysokie zajmowała stanowisko.

Gdy wspomnimy dziś, na schyłku XIX wieku słowa Goethego: „indywidualizm jest największym skarbem człowieka" — wydaje się, że słowa te wypowiedziano przed wiekami — a to tylko jeden wiek dzieli nas od epoki, która przez usta największego swego myśliciela zdanie to wyraziła. Gdzież mamy owe wybitne indywidualności, które są największym skarbem ludzkości? W życiu politycznem — może? Żadne z państw europejskich nie posiada obecnie męża stanu, którego wpływ mógłby się równać z wpływem ludzi takich, jak Mazarini, Richelieu, Talleyrand, Metternich, Gorczakow lub Bismarck (za lat dawnych). Gdziekolwiek indywidualność jaka chce się wybić ponad zwykły poziom — natychmiast prąd czasu ścina jej głowę (vide: upadek Constans'a).

Stwierdziwszy sam fakt, należałoby pomówić o jego przyczynach i skutkach. Wyczerpujące przedstawienie tychże rozszerzyłoby znacznie rozmiary niniejszego artykułu, poprzestaniemy przeto na krótkiej o nich wzmiance.

Co się tyczy powstania tego prądu, zdążającego do zniszczenia wszelkiego indywidualizmu, to sądzimy, że kierunek socyalno-demokratyczny naszej epoki — jest, jeżeli nie jedynem, to z pewnością głównem jego źródłem. Dążność do bezwzględnej równości jest równoznaczna z dążnością do zniszczenia indywidualizmu. W państwie komunistycznem Bellamy'ego opowiada Dr. Leete o wszystkiem — tylko nie o wybitnych jednostkach. Nacóżby się one zresztą przydały? Wszak zasługi ich byłyby równoznaczne z zasługami byle jakiego wyrobnika, który z przykładną wytrwałością i sumiennością pracuje od rana do wieczora.

Jest wersya, która głosi, że ks. Bismarck otrzymał dymisyę z powodu sporu z cesarzem Wilhelmem II. w kwestyi socyalnej, jeżeli ta wersya prawdziwa, może się socyalna demokracya pochlubić zwycięstwem nie lada. Najpotężniejsza indywidualność z drugiej połowy XIX. wieku padła ofiarą nowych prądów.

O przyszłych tychże prądów skutkach nic konkretnego nie da się powiedzieć. Stanowczo można tylko twierdzić, ż e n a l i t e r a t u r ę w y w r z e t e n k i e r u n e k w p ł y w b a r d z o a b a r d z o z g u b n y. Przyszłe pokolenia — na socyalno-demokratycznych zasadach wychowane — nazwą całą dotychczasową literaturę j e d n e m, w i e l k i e m k ł a m s t w e m. Godłem i c h literatury będzie: miłość, wiara, patryotyzm — to mrzonki, prawdą — równość.

S. W.

*) Nadesłane nam pod powyższym tytułem uwagi zamieszczamy, acz nie podzielamy wszystkich wywodów autora. (Przyp. Red.).

Z CHWILI.

(Kronika społeczna.)

II.

(Nowy kurs w Prusiech.— Anarchia we Francyi. — Głód i Emigracya.

Dominującą sprawą polityczno-społecznego znaczenia w Europie—jest obecnie sprawa załatwionego właśnie przesilenia w ministeryum pruskiem, wynikłego z głośnej ustawy szkolnej. Przypuszczać można, że ustawa o szkołach wyznaniowych ubitą i pogrzebaną już została i nie prędko powstanie, chyba, że znajdzie się jakiś nowy jej protektor, który niepomny losu hr. Zedlitza i Capriviego, zapragnie kwestyę na nowo poruszyć. Wiadomo, że minister oświaty Zedlitz, wnioskodawca, jak i kanclerz Caprivi, usunęli się z szerszej widowni życia politycznego, (drugi tylko z godności prezesa gabinetu), gdyż nie zdołali przeprowadzić swych zamiarów, w których się zbytnio zaangażowali. Według niektórych niemieckich dzienników, na radzie koronnej z dnia 17 b. m., miał Wilhelm II zażądać od ministra oświaty przerobienia ustawy tak, by ta mogła być przyjętą przez wszystkie stronnictwa. Zedlitz odmówił, wskutek czego cesarz zarzucił mu błędne prowadzenie sprawy. Inkryminacya taka skłoniła ministra do podania się do dymisyi. Również prawdopodobnem się wydaje, że na usposobienie cesarza — pierwej dla ustawy przychylnego — wpłynęły liczne petycye gmin i uniwersytetów przeciw zamiarom rządu, jak również uwagi księcia badeńskiego i relacya posła przy dworze bawarskim, z której wysnuto wniosek, że wrazie uchwalenia ustawy dla Prus, seperatyzm

Nr. 7. Kraków, 1 Kwietnia 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 zlr. — ct., kwart. 2 zlr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

OD REDAKCYI.

Z numerem bieżącym rozpoczynamy drugi kwartał wydawnictwa „Myśli“ w r. b. Każdy nieuprzedzony przyznać musi, zestawiając zeszłoroczne numera naszego pisma z obecnemi, że postąpiliśmy o wiele naprzód. „Myśl“, do niedawna wyłącznie literacka, posiada obecnie działy: naukowo-społeczny, przyrodniczy, i ekonomiczny, zasilane przez pisarzy pierwszorzędnych. Postaraliśmy się również o nadanie pismu charakteru aktualnego przez zreformowanie fejletonu i stworzenie rubryki: „Z chwili“.

W kwartale ubiegłym zamieściliśmy między innemi prace pp.: dra Chmielowskiego, dra Biegeleisena, dra H. Monata, C. Jelenty, St. Rossowskiego, K. Tetmajera, I. Suessera i w. i. W fejletonie rozpoczęliśmy druk najnowszej powieści E. Zoli pt.: „Klęska“ (La débâcle), której początek otrzymają nowi prenumeratorowie bezpłatnie. Nie posługując się modną blagą czczych zapowiedzi — powiemy tylko, że usiłowania nasze około wszechstronnego rozwoju „Myśli“ spotęgujemy jeszcze, w nadziei, iż trud rzetelny uznanym być musi.

SOCYOLOGIA W NAJNOWSZEJ FAZIE ROZWOJU.

W ojczyźnie nauki, za jaką powszechnie uchodzą Niemcy, daje się w ostatnich latach spostrzegać objaw, którego przyszły historyk cywilizacyi naszego stulecia nie będzie mógł pominąć milczeniem. Jest nim prąd popularyzacyjny, który występując zrazu nieśmiało, niebawem omija zwycięsko przeszkody i podbija sobie wszelkie gałęzie wiedzy do tego stopnia, iż zagadnienia naukowe niemal przestały być tajnikiem uprzywilejowanej klasy uczonych, a stały się dobrem ogółu. Jedną z takich zdobyczy jest samodzielna umiejętność s o c y o l o g i i, uprawiana przez rodaka naszego, dra Gumplowicza (od lat wielu profesora przy wszechnicy w Gracu), który słusznie uchodzi za pierwszego jej systematyka, gdyż dopiero w jego pracy niemieckiej skromnie „zarysem“ przezwanej a następnie na obszerne dzieło polskie przerobionej[1]) po raz pierwszy z zamętu różnych pojęć wykrystalizowały się jasno — c e l i z n a c z e n i e tej nauki.

Świeżo wyszło z pod pióra tegoż autora nowe dziełko[2]), w którem dr. Gumplowicz kruszy ponownie kopię w obronie swej doktryny a czyni to zgodnie z prądem czasu, w sposób przystępny dla szerszego ogółu. Zwłaszcza zręczne przeszczepienie teoryi na grunt tak aktualny, jakim jest współczesna polityka zjednać winna książce liczny zastęp czytelników.

Warto teraz zapoznać się z jej treścią. Wykazawszy, że socyologia w żadnej ze znanych umiejętności nie da się pomieścić, owszem samoistne musi zająć stanowisko, autor z kolei określa jej pojęcie.

Socyologia nie zajmuje się ani jednostką ani społeczeństwem, lecz g r u p a m i s p o ł e c z n e m i, przedewszystkiem zaś grupą tak potężną, jak państwo.

Państwo wszakże stanowi przedmiot socyologii nie jako szczegół, lecz jako ogół, a więc nauce nie chodzi nigdy o pewne państwo, lecz o stosunek wzajemny państw do siebie.

Z drugiej strony istnieją w łonie samegoż państwa rozliczne mniejsze grupy, jako to: stany, klasy, cechy, wyznania i t. p., które również o tyle wkraczają w dziedzinę socyologii, o ile ta ma na celu wykrycie i zbadanie prawideł ruchu przyrodzonych dążeń każdej z tych grup i wynikającej ztąd wzajemnej ich reakcyi.

Te słowa streszczają zarazem zadanie socyologii, którem nie jest nic innego, jak wykazanie, że wszelkie przewroty społeczne są następstwem naturalnem, poniekąd z góry dającem się przewidzieć.

Z pozoru teorya o naturalnej konieczności zmian politycznych wyda się nie jednemu dziwaczną i spotka się z niedowierzaniem, co się tem tłómaczy, że jednostka przeważną część wrażeń zewnętrznych rozpoznawać zwykła z ciasnego stanowiska indywidualizmu. Jeśli natomiast ta jednostka wyzwoli się z więzów osoby i wzniesie się na tą samą wyżynę, z której musi zapatrywać się na przyrodę, natenczas dojdzie do świadomości, że w takiem założeniu nie tkwi nic niezwykłego. Skoro byt świata zwierzęcego i roślinnego ma swoje prawa, czemu nie miałyby ich mieć grupy społeczne? Dlaczego nie miałyby się niemi rządzić państwa, które według Arystotelesa są wytworem tak dawnym jak ludzkość i które istnieć muszą, dopóki świat się ze swych posad nie ruszy?

Naczelne z tych praw nie jest nawet odmiennem od najwyższego prawa, którem się rządzą wszelkie żyjące jestestwa!

Opiewa ono: bodźcem wszelkich ruchów w grupie społecznej jest p o p ę d s a m o z a c h o w a w c z y, a z niego wypływa bezpośrednio dążenie do coraz silniejszego utrwalenia własnego bytu.

Aby zapewnić sobie byt i zabezpieczyć go przed zagładą, zmuszone były ludy (raczej państwa) pierwotne do ustawicznych najazdów na swych sąsiadów, do wypraw wojennych, które zaczynały się rabunkiem a kończyły się ujarzmieniem.

Państwa zaś nowoczesne teraz dalekie są od barbarzyństwa ludów pierwotnych, tem mniej mogą się oprzeć przyrodzonej konieczności wystąpienia poza własne granice i zaatakowania ościennych społeczeństw, gdyż prze je do tego czynnik tak potężny, jak wzrost ludności i idąca w ślad za nim potrzeba wydatniejszych środków utrzymania. Najwyższe to prawo, ta tendencya wzmocnienia własnych sił powołuje do życia drugie prawo, a jest niem konieczność zapobieżenia rozrostowi potęgi sąsiada. W ten sposób wytworzyło się pojęcie t. zw. p o l i t y c z n e j r ó w n o w a g i, do której zwichnięcia nie może dopuścić żadne państwo.

Natomiast własną egzystencyę najlepiej utrwali państwo, gdy się zasłoni przed sąsiadami zapomocą granic naturalnych, te bowiem stanowią wał ochronny przeciw wszelkim zamachom. Stąd każde państwo odcięte od granic naturalnych, jak morza, góry i t. d. stara się je pozyskać, choćby za cenę walki z sąsiadem. Zwłaszcza grawitacya ku morzu zrozumiałą jest z tej przyczyny, że morskie mocarstwa są w posiadaniu silnego środka dla spotęgowania władzy, t. j. kolonii.

Nie wystarcza jednak być potężnym na zewnątrz trzeba też pomyśleć o potędze wewnętrznej, o władztwie nad rozlicznemi grupami społecznemi i nie dopuścić, by która z nich wzmogła się w sposób dla państwa groźny.

Dla dopięcia tych celów służy wojsko, za pomocą którego państwo broni się nietylko przed sąsiadem, ale w pierwszym rzędzie przed możliwym nieprzyjacielem domowym.

Owe wewnętrzne grupy społeczne rządzą się podobnemi prawami i staczają ze sobą ciągle walki, których pierwszym i ostatecznym celem jest zdobyć sobie w państwie dominujące stanowisko. Silniejszy zwalcza słabszego, równie silni łączą się by złamać przewagę trzeciego i tak dalej wre walka o byt i wrzeć musi, gdyż nie jest prawem historyi ale prawem życiowem, jakiego dopatrzeć się można nawet u najmniejszych żyjątek.

Gumplowicz nadaje tej walce właściwe miano; oto zowie ją *„sociale Ausbeutung“*, w y z y s k i e m społecznym jednej grupy przez drugą i wyróżnia w nim dwa rodzaje wedle tego czy odbywa się przemocą, czy też podstępem, spekulacyą pokojową.

Historya traktatów handlowych jest dlań obrazem takiego spokojnego wyzysku albo raczej spokojnej nie krwawej walki państw o przewagę w korzyściach, podobnie jak wojny dają obraz wyzysku drogą przemocy.

Wyłuszczone powyżej zasady wiodą do założenia socyologii, wypisanego na tytule księgi drugiej w słowach: „historya jest procesem naturalnym“. I w samej rzeczy, aby zrozumieć, że w historyi nie ma nic indy-

[1]) Socyologia. Warszawa 1889.

[2]) Sociologie und Politik. Lipsk 1892.

widualnego, trzeba było stanąć na stanowisku przyrodnika i jak biolog jednostkę podporządkowuje rodzajowi, podporządkować ją grupie społecznej, zrobić z niej narzędzie w niewidzialnych lecz potężnych dłoniach tej grupy.

Nauka socyologii jako całość ma praktyczną doniosłość dla polityki, gdyż dopiero na socyologicznej zasadzie polityka przestaje być spekulacyą a podnosi się do znaczenia umiejętności.

Że istotnie polityka nie jest a przynajmniej nie powinna być niczem innem jak praktycznem zastosowaniem socyologii, założył sobie autor wykazać w części końcowej. Ta część, bodaj czy nie najciekawsza, gdyż oparta na stosunkach bądź świeżo ukształtowanych bądź dopiero się kształtujących, usuwa się z pod dyskusyi w łamach *„Myśli“*, a żądnych zapoznania się z dotyczącemi poglądami wypada odesłać do oryginału.

Prawie bezwiednie nasunęło się referentowi, gdy czytał te poglądy, czy też przypadkiem rzecz nie ma się odwrotnie, niż chce Gumplowicz, czy mianowicie refleksye polityczne autora nie dostarczyły mu materyału, na którym zbudował gmach swej teoryi. Gdyby jednak i tak było, nie zmniejszyłaby się przez to wartość dzieła, każda bowiem rozsądna teorya opartą będzie nie na fantazyi ale na wnioskach, wysnutych z praktyki życia.

Zasługą Gumplowicza jest bądź co bądź, iż pracę Herberta Spencera posunął znacznie naprzód, gdyż rozwinął jego myśli i ujął je pierwszy w samodzielny system. Niezmordowanym usiłowaniom, by młodą tę umiejętność postawić na wysokim szczeblu, należy się uznanie. Dr. Jakób Wollerner.

FLIRT W POWIEŚCI.

(ESTEJA).

(Dokończenie).

Niewątpliwie, każdemu artyście pozostawić należy zupełną swobodę zarówno w wyborze tematów, jak i w sposobie ich traktowania; artysta istotnie musi przedewszystkiem zadowolnić siebie, jeżeli nie chce się stać rzemieślnikiem, wyrabiającym rzeczy pokupne; ale to nie znaczy bynajmniej, iżby ogół miał przyjmować biernie a z zachwytem wszystkie indywidualne upodobania artysty; ten ogół ma również swój smak i swoje ideały, i według nich przyjmuje lub odrzuca pomysły jednostki tworzącej. Wśród ogółu znowuż istnieje grupa ludzi, chcących sobie zdawać krytyczną sprawę zarówno z natchnień artysty, jak i ze smaku ogółu; ta grupa ma również prawo, a do pewnego stopnia i obowiązek wypowiedzienia swoich poglądów, choćby się one nie zgadzały z dążeniem twórcy lub smakiem mas, albo też z obojgiem razem.

Jak większość artystów, tak i Esteja lekceważąco traktuje krytykę, zarzucając jej stronność i niesprawiedliwość. „Nigdzie tak jak u nas — mówi ona, ciągle przez usta hrabianki — krytyka od fantazyi nie zależy. Częściej jednak z błotem miesza i prawdziwe nawet talenta zniechęca, z p u n k t u(!). Powinna jednak zachęcać jak najwięcej; boć jeżeli któryś ze starożytnych mędrców powiedział, że trudno być głupszym aniżeli ogół, to według mego zdania, u nas trudno gorzej pisać, aniżeli ogół literatów naszych; stąd tytuł do śmiałego bratania się z piórem“. Nie myślę tu kruszyć kopii w obronie krytyki i ogółu literatów, jaknajdalej bowiem chciałbym pozostać od wszelkich osobistych przyczepek i od podejrzenia, jakobym własnej bronił sprawy; to wszakże powiedzieć muszę, że jak bywają krytyki niesprawiedliwe, tak też bywają pretensye autorów nieuzasadnione. Wolno oczywiście Estei obrabiać z zamiłowaniem i werwą rzeczy dalekie od podniosłości etycznej, ale też wolno krytyce wyrazić opinię, że dotychczasowe jej utwory, a zwłaszcza powieść „W sieci pajęczej“, są przesiąknięte narkotycznemi wyziewami niezdrowego erotyzmu i pozostawiają po sobie takie wrażenie, jakby się zbyt długo przebywało w atmosferze dusznej, na którą się złożyły bardzo różnorodne, nie zawsze najprzyjemniejsze, ale zawsze zanieczyszczające powietrze, zapachy. Wyłączam z pod tego zarzutu dwa tylko obrazki: „Mea“ i „W sercu garbuska“. Obrazy przez nią kreślone zadawalniają wyobraźnię i zmysły, ale nie wywołują przyspieszonego bicia serca, nie napełniają duszy szlachetnemi pragnieniami, nie czynią zadość wymaganiom wykształconego rozumu. To, co nam z Kanady przywiozła nie warte fatygi tak dalekiej podróży, bo przedstawiła nam tych tylko, co sie bawią i zbytkują, pomijając tych, co myślą i działają. Na ironią też wygląda zachęta, podana seryo przez Esteję paniom naszym, żeby emigrowały za ocean, jeżeli „zamiast baniek mydlanych“ wolą „rzeczywistość“, t. j. istotne królowanie nad mężczyznami. Bo jeżeli o flirt chodzi, nie potrzebują go podobno panie nasze aż w Ameryce się uczyć...

Esteja ubolewa nad „miernością“, panującą w naszej beletrystyce. „Jedna gwiazda pierwszorzędnej wielkości — mówi ona — po za nią mierność, mierność i jeszcze mierność“. Potrzeba mieć nadzwyczajną wiarę w siebie, ażeby tak bezwzględny, stanowczy wyrok wygłosić. Dobrze jest ludziom z taką wiarą, ale w naszym wieku krytycznym, trudno, aby ją wszyscy podzielali; ba, znajdą się nawet niegrzeczni, co z niej zażartować sobie pozwolą. Gdy się ją pieści we własnem sercu, nikt przeciwko temu nic mieć nie może, ale gdy się ją w druku objawia, potrzebaby złożyć dowód, że ona nie jest podmiotowem urojeniem. A przedewszystkiem należałoby okazać, że się włada dobrze narzędziem, którem się powieściopisarze posługują, t. j. językiem i stylem. Kto co krok popełnia galicyzm, używając w zdaniach przeczących przysłówka „więcej“ zamiast „już“; kto najmniejszej nie ma staranności o budowę zdań i ich połączenia; kto ladajakiemi porównaniami i przenośniami się zadawalnia, — ten nie może udowodnić swego mistrzowstwa nad narzędziem, którego używa, i gotów na siebie ściągnąć zarzut, iż

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

3) CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Z innej strony do strasznego niepokoju doprowadzała go bezczynność. Dwa tygodnie upłynęło, jak tu przybyli, dlaczego nie idą naprzód? Czuł to doskonale, że każdy dzień opóźnienia jest błędem, poprawić się nie dającym, jest szansą zwycięstwa. I w obec planu wymarzonego, pozostawała faktyczna istota wykonania i to wszystko, czego miał się dowiedzieć później, a co w tej chwili było tylko ciemnem i bolesnem przeczuciem. Siedem korpusów armii, rozstawionych w pewnych odstępach, rozrzuconych wzdłuż granic od Metzu do Bitsch i od Bitsch do Belfortu, kadry wszędzie niekompletne, czterykroć sto tysięcy ludzi, przewidywane w planie, zredukowane do dwukroć pięćdziesięciu tysięcy co najwyżej, generałowie kłócący się ze sobą przez zazdrość, gdyż każdy z nich pragnął na swoją rękę zdobyć sobie buławę marszałkowską i nie myślał pomagać w tem swemu sąsiadowi; najstraszniejsza nieoględność, mobilizacya i koncentracya dokonywane jednocześnie dla zyskania na czasie, na pośpiechu i doprowadzające do zamieszania i zawikłania nieprawdopodobnego — jednem słowem obezwładnienie wszystkiego, obezwładnienie, idące od samej góry, od cesarza, chorego, niezdolnego do powzięcia stanowczych i szybkich decyzyj, obezwładnienie, które już stopniowo ogarniało armię, rozprzęgało ją, unicestwiało, skazywało na najstraszniejsze klęski, pozbawiając ją środków możliwej obrony. A jednak, pomimo wszystko, pomimo głuchego niepokoju oczekiwania, wśród instynktownej trwogi tego, co się stać miało, pewność zwycięstwa górowała w sercu Maurycego.

Trzeciego sierpnia, jak raca fajerwerkowa, nagle wystrzeliła wieść o zwycięzkiej bitwie pod Serrebrück, stoczonej dnia poprzedniego. Jakiej to było doniosłości zwycięstwo, nie wiedziano, ale dzienniki kipiały zapałem. Był to pierwszy krok tryumfalnego pochodu; Niemcy już pokonane! Następca tronu z zimną krwią na polu boju podniósł kulę z ziemi!... Oto początek legendy o przyszłym cesarzu francuzów!...

W dwa dni później, gdy się dowiedziano o napadzie i strasznym pogromie Wissenburga, krzyk wściekłości wydarł się z piersi wszystkich. Pięć tysięcy ludzi popadło w zasadzkę zdradziecką... Bronili się przez dziesięć godzin trzydziestu pięciu tysiącom prusaków!... to woła o pomstę! to potoków krwi wymaga!... To pewna, że dowódzcy byli dobrze poinformowani, ale... to się wszystko zaraz naprawi. Mac Mahon powołał do siebie pierwszą dywizyę 7-go korpusu, 1-y korpus zostanie poparty przez piąty, już w tej chwili zapewne prusacy muszą być wyparci za Ren bagnetami francuskiej piechoty, już muszą być w rozsypce, rannymi i trupami zasłane pola i drogi, ciałami płynie rzeka!... I myśl sama, że się musiano tego właśnie dnia bić z wściekłością, powiększała gorączkę oczekiwania wiadomości, potęgowała z każdą minutą niepokój, rozlany jak eter w powietrzu pod olbrzymią kopułą błędnącego horyzontu.

To wszystko Maurycy powtarzał właśnie Weissowi.

— To im musiano dzisiaj dopiero skórę wygarbować!

Za całą odpowiedź Weiss potrząsnął głową z miną zafrasowaną. On także patrzył w stronę Renu, ku temu wschodowi, gdzie

zbyt śmiało brata się z piórem. Ale nie chciałbym wcale, ażeby zarzut taki był skierowany ku pismom Estei, bo ona ma talent, tylko zanadto pośpiesznie tworzy, i o ile wnosić wolno z zastanowienia się nad artyzmem roboty, dobywa z teki dawniejsze swoje prace („W sieci pajęczej“) i korzystając z rozgłosu, puszcza w obieg rzeczy słabe, źle ułożone i źle napisane, nad które sama się już obecnie wzniosła.

Należy więc do niej zastosować jednę z uwag hrabianki, rozprawiającej o piśmiennictwie naszem, i powiedzieć, że nie stara się talentu swego pracą wzbogacić. Marnowanie się zdolności, wskutek pośpiesznej i dorywczej roboty, zdarza się coraz częściej nietylko u nas, ale i gdzieindziej, i powinno być przestrogą dla każdego autora, który nie chce, ażeby do niego zwrócono sąd Estei o spółczesnej literaturze naszej.

Piotr Chmielowski.

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ

(W rocznicę srebrnego z literaturą wesela).

I.

Przerzucając nasze pisma ilustrowane, często spotykamy portrety ludzi młodych, czasem nawet tak młodych, że wątpić należy, czy doszli do prawnej pełnoletności. Są to przeważnie śpiewacy, fortepianiści, aktorzy, wirtuozi na skrzypcach i wiolonczeli, rzadziej już malarze i rzeźbiarze. Na sto takich portretów spotka się zaledwie dwie lub trzy podobizny młodych poetów, literatów, uczonych lub dziennikarzy — i to tylko w tym wypadku, jeżeli przedwczesna śmierć wyrwie ich z łona żyjących. Żywi przedstawiciele literatury mają prawo do portretów i życiorysów dopiero wtedy, kiedy siwizna przypruszy im włosy. Dlaczego ten ostracyzm stosuje się tylko do ludzi pióra — odpowiedzieć trudno — niewiele jednak może omylilibyśmy się, sądząc, że główną rolę gra tu... koleżeństwo. Pisma wydają literaci, a więc skromność (kto chce niech czyta zazdrość) nie pozwala im reklamować ludzi swego... fachu.

Nie idziemy za ich przykładem, pomieszczając w „Myśli“ portret i sylwetkę Kazimierza Bartoszewicza. Ma on do tego prawo nietylko ze względu na wybitne zdolności, ale i ze względu, że pomimo młodego wieku jest już... jubilatem.



Tak jest — dowiedzieliśmy się o tem z ust znanego literata warszawskiego p. Józefa Grajnerta. Będąc w Krakowie, wspominał on, że Bartoszewicz jako czternastoletni młodzieniec był już stałym współpracownikiem wydawanej przez niego „Zorzy“. Zkądinąd wiemy, że warszawski humorystyczny „Kurjer Świąteczny“ korzystał wówczas już także z pióra przyszłego następcy Lama, dzierżącego dziś bezsprzecznie berło dowcipu i humoru w naszem dziennikarstwie.

Dotychczasowa działalność dziennikarska i literacka Bartoszewicza, lubo bardze obszerna i niezwykle urozmaicona, nie może jednak pochlubić się żadnym utworem szerszych rozmiarów, żadnem większem dziełem, którego mielibyśmy prawo wymagać od niepospolitego talentu. Wyborny stylista, gruntowny znawca literatury i historyi, piszący tak czystym polskim językiem, jak rzadko który z pisarzy, — świetny obserwator, satyryk pierwszej miary, humorysta w każdym calu, umiejący przecież kiedy potrzeba piórem swojem porwać, zapalić i łzę wycisnąć, — umysł przytem niezwykle trzeźwy, w poważnej argumentacyi i polemice niezwyciężony — pomimo tych wszystkich darów i zasobów, rozprasza Bartoszewicz swoje zdolności na drobiazgi, artykuły i artykuliki świetne, lecz jednodniowe, które giną, przemijają, wywołują chwilowy oklask, ale autorskiej jego sławie nie dają trwałych fundamentów.

Zarzut to wielki, ale są okoliczności łagodzące, a bodaj czy całkiem go nie uniewiniające.

Bartoszewicz, syn znakomitego historyka, prawem spadku duchowego, od najmłodszych lat rwał się do literatury. Obdarzony zmysłem krytycznym, zamiłowany w studyach nad historyą literatury, już w gimnazyum zadziwiał profesorów wypracowaniami polskiemi, w 18 roku życia pisał korespondencye literackie do *Przeglądu Polskiego*, w 19 drukował rozprawki literackie w tymże *Przeglądzie*, w *Czasie* i *Tygodniku Powszechnym*. Jako uczeń uniwersytetu krakowskiego dostał nagrodę za najlepsze odczyty w czytelni akademickiej. Czytał w niej rzecz o „szlachcie polskiej“, miewał z pamięci prelekcye o Polu, Czajkowskim. Porzucił prawo, którego słuchał przez dwa lata i przeszedł na wydział filozoficzny. Uśmiechała mu się katedra historyi literatury polskiej — i byłby z czasem sięgnął po nią, gdyby. . . . Tych gdyby dość się nagromadziło.

Na uniwersytecie jeszcze będąc, założył pismo tygodniowe: „Szkice społeczne i literackie“. Oprócz rozpraw literackich dosiadywał w niem pegaza, pisał wstępne artykuły, krytyki i drobiazgi fejletonowe. Pismo było redagowane zręcznie i odważnie. Młody redaktor zyskał współpracownictwo między innymi: Lenartowicza, dra Antoniego J., Żulińskiego, Gillera, Duchińskiej i Kraszewskie-

---

się już teraz zupełna noc zrobiła i który przedstawiał się już w tej chwili jako mur czarny, tajemnicą osłonięty. Po ostatnich sygnałach apelu, wielka cisza zapadła na obóz odrętwiały, przerywana zaledwie krokami i głosami kilku żołnierzy zapóźnionych. Światełko jedno właśnie zapalone zostało, niby gwiazda drżąca w wielkiej izbie folwarku, w którym sztab czuwał, oczekując depesz, które przybywały co chwila, ciągle jednak niejasne i niewyraźne. A ogień z zielonych gałęzi, opuszczony nareszcie, dymił ciągle wielkim słupem smutnego dymu, który wiatr pędził przez dachy zabudowań folwarcznych, brudząc blaski pierwszych gwiazd, zapalających się u stropu nieba.

— Wygarbować!... — powtórzył wreszcie Weiss — oby cię Bóg wysłuchał!...

Jan ciągle siedząc o kilka kroków, nadstawił ucha. Porucznik Rohas, który także w tem życzeniu bojaźliwem drżenie wątpliwości poczuł, nie kryjąc się, stanął i zaczął słuchać.

— Jakto!... zaczął znowu Maurycy — czyż ty nie masz zupełnej ufności, czy sądzisz, że klęska jest możliwa!...

Energicznym gestem szwagier go powstrzymał... Ręce mu drżały, poczciwa jego twarz nagle zbladła i głębokie wzruszenie na niej się zarysowało.

Uspokoił się, ramiona mu opadły, jakby go coś ciężkiego przygniatało.

— Ale!... cóż chcesz!... co ja pocznę!... nie jestem spokojny... Ja ją przecież znam doskonale, tę moją Alzacyę!... Dopiero co przejechałem ją wszerz, za interesami jeżdżąc, i myśmy widzieli, my, to, co do oczu skakało generałom naszym, a czego oni widzieć nie chcieli...

Nie przeszkadzało to jednak stosunkom sąsiedzkim z Badeńskiem i Bawaryą i wszyscy prawie mamy krewnych i przyjaciół po tamtej stronie Renu. Zdawało nam się, że tak, jak my, i oni też pragną upokorzyć tych pysznych prusaków!... I oto my, cośmy byli tak spokojni, tak pewni, od dwóch tygodni zapadliśmy w troskę zwątpienia na widok tego, co się dzieje i tego, że się dzieje z każdym dniem coraz gorzej!... Od chwili wypowiedzenia wojny pozwolono kawaleryi nieprzyjacielskiej napadać na wsie, rekognoskować miejscowości,, przecinać druty telegraficzne. Badeńskie i Bawarya zawrzały; olbrzymie ruchy wojsk widać w Palatynacie, a wiadomości, nadchodzące zewsząd, z targów, z jarmarków, dowodzą, że granica jest zagrożona, a gdy mieszkańcy, merowie gmin, przerażeni, przebiegają i mówią to wszystko oficerom, przechodzącym, ci wzruszają ramionami; według nich to wszystko są przewidzenia tchórzów; nieprzyjaciel daleko!... Jakto!?... wtedy gdy każda godzina coś stanowi, traci się nadarmo dnie całe jeden po drugim!?... Na cóż jeszcze czekamy!?... czy na to, żeby nam na karki całe Niemcy spadły?

Mówił głosem przyciszonym i żałosnym, jak gdyby tylko sobie samemu opowiadał te wszystkie rzeczy, o których długo myślał.

— Ach!... Niemcy!... Ja i Niemcy znam doskonale!... ale co jest straszne, oto to, że tak się coś zdaje, jak gdybyście je znali mniej, niż Chiny dalekie. Ty przecież, Maurycy, musisz pamiętać Gunthera, mego kuzyna, co to na wiosnę zeszłego roku był u mnie w gościnie w Sedanie. To mój krewniak przez kobiety. Jego matka, siostra mojej matki, wyszła za mąż do Berlina. I on już jest niemiec w każdym calu i w sercu nosi nienawiść dla Francyi. Dziś mój Gunther jest kapitanem w gwardyi pruskiej. Tego wieczora, kiedy go odprowadzałem na kolej, żegnając się, rzekł mi: „Jeśli Francya wojnę nam wypowie, zostanie pobita!...“

Słysząc to porucznik Rochas, który się dotychczas powstrzymywał, wybuchnął wście-

go, który w jednym z listów do Gillera wyraził się: „czy Bartoszewicz wyrobi się na dzielnego pisarza, tego jeszcze wiedzieć nie mogę, ale na redaktora, już wiem, że jest stworzony.“

W „Szkicach“ zdobywali sobie literackie ostrogi: Grudziński, Gawalewicz, Wołowski, Łoś i t. d. Półtora roku ich istnienia, przyniosło redaktorowi i wydawcy prócz strat materyalnych pierwszą walkę na polu osobistem. Niektórzy dziennikarze konserwatywni nie darowali mu silnego wystąpienia przeciw Walewskiemu, zarzutów czynionych Akademii za wybór Uwarowa — i w ogóle pewnej opozycyi przeciw skrajnym zasadom i galicyjskim stosunkom. Młody, pełen uporu, nieustępujący z placu walki, oddawał Bartoszewicz swym przeciwnikom pięknem za nadobne, zwłaszcza, że przyszedł mu w pomoc *Dyabeł*, którego nabył za namową Gawalewicza. Ale tak *Dyabła*, jak założonego później *Harapa* prędko się pozbył, gdyż polemika osobista, wzajemne szarpaniny były mu wstrętne. Zresztą miał do spełnienia obowiązek, który wymagał oddania mu się zupełnie.

Większa część prac historycznych Juliana Bartoszewicza spoczywała w rękopisach. Syn pragnął postawić ojcu pomnik z jego dzieł własnych. Nie liczył się ani z materyalnemi stosunkami, ani z pracą ciężką i nużącą. Julian Bartoszewicz nieczytelnością rękopisów przyprowadzał zecerów do rozpaczy. Tylko syn umiał odczytywać te drobne literki niedostępne dla nikogo. Ale oprócz pracy ócz, trzeba było sprawdzać wszystkie fakty i nazwiska, zaglądać do starych kronik, często dla odszukania jednej daty kilkanaście dzieł i kodeksów przerzucić. Nie uląkł się syn trudu i włożył całą pracę i połowę zasobów materyalnych, aby wypełnić obowiązek syna — i obywatela, dodajmy, bo wydanie dzieł rozjaśniających przeszłość narodu jest czynem obywatelskim.

W ciągu wydawnictwa wszedł w stosunki pieniężne z jednym z księgarzy krakowskich i po roku doczekał się jego bankructwa. Trzeba było ratować siebie i wydawnictwo. Ugodził się z wierzycielami i postanowił prowadzić księgarnię, póki nie znajdzie na nią nabywcy. Stanęła temu na przeszkodzie mściwość człowieka, zajmującego bardzo wysokie stanowisko, którego Bartoszewicz dotknął w *Harapie*. Daremnie starał się o koncesyę, a gdy ją wreszcie dostał, księgarnia w połowie już była za bezcen wyprzedana. Te straty materyalne, byłyby innego zniechęciły i zmusiły do rzucenia kolebki niepowodzeń. Ale Bartoszewicz wierzył w swoje siły.

Rozpoczął więc pracę gorączkową. Zajmował się księgarnią, prowadził dalej wydawnictwo dzieł ojca, rzucił się na inne nakłady. Przyjął obowiązk stałego korespondenta do „Wieku“, „Gazety Warszawskiej“, „Kuryera Warszawskiego“, „Prawdy“, „Kłosów“ i t. d. Drukował w Ateneum rozprawę literacką o nieznanej satyrze z początku XVIII w. — pisał bardzo treściwy i dokładny życiorys Kochanowskiego do sumiennie prowadzonego wydawnictwa klasyków polskich. W przeciągu lat kilku wydał 12 wielkich tomów dzieł swego ojca, dwadzieścia kilka tomów klasyków, nie licząc innych dzieł i broszur pomniejszych. Nie spuszczał się w tych zajęciach na nikogo: sam przygotowywał i poprawiał rękopisy, przy przedrukach porównywał pierwsze edycye, aby wydawnictwa zasługiwały na miano krytycznych, sam wreszcie przeprowadzał korektę. Drugą edycyę „Historyi literatury“ swego ojca wzbogacił licznemi i cennemi dopiskami, również przypiskami objaśnił i wydał z rękopisu ciekawe Pamiętniki Lipińskiego z r. 1826—1831.

Jednocześnie czysto przypadkowo odkrył się w nim niezwykły talent fejletonisty. W jednym z dzienników chciano zaprowadzić fejleton; podjęli się tej roboty najznakomitsi pisarze konserwatywnego obozu, napisali pięć bardzo słabych fejletonów i... dali pokój, widząc, że to rzecz dla nich zatrudna. Naśladował ich i drugi dziennik, zaprosił do fejletonów pierwszorzędnego pisarza, ale i ten pokpił sprawę. Zaczęto żartować sobie w Krakowie z tych popisów, a Bartoszewicz zażartował najwięcej, bo napisał bezimiennie humorystyczny fejleton do *Gazety Krakowskiej*. Ten jeden fejleton stworzył odrazu współzawodnika Lamowi, a następne zapewniły nieznanemu autorowi niezwykłe powodzenia... moralne. Nie ukrywał się więcej i zaczął podpisywać się swojem nazwiskiem. *Gazeta Krakowska*, prowadząca żywot swój z dnia na dzień, płaciła za fejletony... wdzięcznością — przeniósł się więc z fejletonami do innego dziennika, ale krępowany „stosunkami i stosuneczkami“ redakcyi, postanowił założyć własne pismo, w którem nie potrzebowałby oglądać się na stronnictwa i osoby. W taki sposób powstał *Przegląd literacki i artystyczny* wydawany przez Bartoszewicza przez półczwarta roku. Pisał w nim artykuł za artykułem, fejleton za fejletonem. Powodzenie moralne nigdy go w tej pracy nie opuszczało—fejletony czytano chciwie, uczono się na pamięć pojedyńczych ustępów, dzienniki zamiejscowe przedrukowywały je „bez żenady“ w całości, ale prenumeratorowie nie pokrywali kosztów wydawnictwa. Czytelników miał *Przegląd* tysiące... po kawiarniach ,cukierniach, restauracyach. - Taki to los wszystkich pism literackich w Galicyi...

Nieco później powstał kalendarz „*Ananas*„ który nadzwyczajną wziętością swoją pobił w pierwszem starciu współzawodników. Bez przesady powiedzieć można, że prawie cała czytająca Galicya szła do Ananasa, jako do niewyczerpanego źródła humoru. Lwią część tego wydawnictwa, jakoteż i pisma satyrycznego wychodzącego pod tym samym tytułem, wypełniał Bartoszewicz swojemi utworami i fraszkami. Pomijając arcyzabawne przepowiednie, przypowieści i „senniki“, pobudzające melancholika do śmiechu, należy przypomnieć większy utwór „Kandydat na radcę“, który, kiedy się ukazał później w „Kraju“ petersburskim, wywołał zbiorowy list kilku literatów warszawskich, dziękujących autorowi za niezwykłą przyjemność, jakiej dostarczyła im ta praca, pełna głębokiej satyry i niepospolitego talentu.

---

kłością. Miał on około pięćdziesięciu lat i był to chudy wysoki facet, z twarzą długą, zapadłą, ogorzałą i pomarszczoną. Nos miał ogromny, szeroki, zapadający na usta szerokie, grube, ale dobre, nad któremi jeżyły się twarde wąsy szpakowate. Uniesiony gniewem wściekłym przyskoczył i głosem grzmiącym zawołał:

— Co to znowu u miliona dyabłów!... Jak pan śmiesz tu w obozie demoralizować naszych ludzi!... Co to ma znaczyć!...

Jan, nie mieszając się do kłótni, uznawał jednak, że porucznik ma racyę. I on także, chociaż go już dziwić zaczynaly te opóźnienia i te nieporządki, jakie widział, nie wątpił jeszcze dotąd ani na chwilę o tem, że prusacy strasznie pobici zostaną. To dla niego było pewnikiem... Przecież po to wszyscy tu przyszli, żeby ich porządnie wytrzepać!...

— Ale, panie poruczniku — odparł Weiss zmieszany — ja nikogo demoralizować nie nie mam zamiaru, przeciwnie, jabym chciał, żeby wszyscy wiedzieli to, co ja wiem, bo przecież koniecznie trzeba wiedzieć, aby przewidzieć i módz, bo to widzi pan, panie poruczniku, ci niemcy...

I mówił dalej ze spokojem rozsądku, wyłuszczając swoje obawy: Prusy powiększone po Sadowie, ruch narodowy, który je stawiał na czele innych państw niemieckich, całe to ogromne mocarstwo w fazie swej formacyi, odmłodzone, pełne zapału i nieprzeparcie dążące do wymarzonego zjednoczenla, system służby wojskowej obowiązkowej, który stawiał pod bronią naród cały, nauczony, wyćwiczony, do karności wrobiony, zaopatrzony we wszystko doskonale, przywykły do wielkiej wojny, pełen buty ze zwycięstwa tak piorunującego nad Austryą. Dalej inteligencya, siła moralna tej armii, dowodzonej przez generałów prawie wszystkich młodych, podległych jednemu głównemu wodzowi, który samą sztukę wojowania pragnął zreformować, człowiekowi pełnemu oględności i wszystko przewidującemu, wszystko wedle wartości ocenić umiejącemu...

I naprzeciw tych Niemiec ośmielił się postawić i pokazać Francyę. Cesarstwo zestarzałe, jeszcze przez plebiscyt usankcyonowane, ale u podstaw nadgniłe, cesarstwo, które osłabiło pojęcie ojczyzny i zniszczyło swobodę, a następnie stało się liberalne za późno i na swoją zgubę, cesarstwo, które upaść musi, jak tylko nie będzie w stanie zadowolić tej żądzy użycia, jaką samo rozpasało; dalej armię bez zaprzeczenia rasowo odważną i bitną, jeszcze laurami dawnych zwycięstw upojoną, ale popsutą „zastępstwami“ za pieniądze, zasklepioną w rutynie szkoły afrykańskiej, zbyt pewną zwycięstwa, aby się mogła zdobyć na wysiłek nabycia nowej wiedzy i poznania nowych metod.

Wystawiono generałów, po największej części, przez zazdrość sobie wzajem niechętnych, wiele z nich nieskończenie nieświadomych, a na ich czele Napoleona III., cierpiącego i niestanowczego, oszukiwanego i oszukującego się na każdym kroku w tej wielkiej awanturze, którą rozpoczynał i w którą wszystko się rzucało na ślepo...

Wszystko w tej Francyi rozbiło się teraz bez żadnego przygotowania, bez systemu i porządku wśród zamieszania ogromnego, wśród jakiegoś głupiego rozpędu, jakiegoś rozbiegania się, niby bydła na rzeź prowadzonego.

Rochas z otwartemi ustami, z oczyma wytrzeszczonemi, słuchał. Olbrzymi jego nos zmarszczył się, potem nagle, bez żadnej innej odpowiedzi, pan porucznik wybuchnął śmiechem, śmiechem grubym i donioslym, przy którym gęba mu się szeroko rozwarła.

(D. c. n.).

Nie mniejsze wrażenie wywołał humorystyczny poemacik: „Ogniem i mieczem“, osnuty na tle wyborów do rady miejskiej krakowskiej. Mistrzowskie to naśladownictwo starego języka i dawnej formy wierszowania rozeszło się w trzech wydaniach, a pomimo czysto lokalnego tematu, sama Warszawa z Królestwem, prawie cały jeden nakład wykupiła. Zwrócił jej na niego uwagę Sewer, który w *Tygodniku Powszechnym* napisał, że nie zdarzyło mu się od lat wielu spotkać z utworem tak potężnego humorystycznego talentu.

W tem miejscu zaznaczyć nam wypada, że Bartoszewicz w ogóle posiada niesłychaną łatwość wierszowania. Jego „Kroniki roczne“ i wiersze o komitecie pomnika Mickiewiczowskiego, pisane oktawami, są tego dostatecznym dowodem. Prócz tego napisał kilkanaście ostrych satyr, znakomitą i głęboką bajkę polityczną „o dwóch braciach mądrych a trzecim żonatym“ i wiele wierszy treści erotycznej i humorystycznej, z których wierszyk „Na wsi“, rozpoczynający się od słów:

Wsi spokojna, wsi wesoła
Chwalę ciebie pod niebiosa:
Rano spędzam muchy z czoła,
Wieczór spędzam muchy z nosa itd. itd!

stał się ogólnie znanym i popularnym choćby z tego powodu, że w ciągu lat paru był przedrukowany przez kilkadziesiąt dzienników i pism literackich.

Do charakterystyki ówczesnej działalności Bartoszewicza dodać należy, że, jak się wyraził Teodor Jeske Choiński w fejletonie drukowanym w *Kuryerze Warszawskim*, tak „pełno go było“ w Krakowie, tyle rozsiewał około siebie życia i inicyatywy, że „trudno obecnie wyobrazić sobie Kraków bez Bartoszewicza“. Nie było rzeczywiście stowarzyszenia o szerszym zakresie działania, do któregoby nietylko nie należał, ale w któremby nie pełnił rozmaitych honorowych urzędów. Układał statuty, pisał odezwy, sekretarzował, rzucał wciąż nowe projekty i przeprowadzał je, zawsze z właściwą sobie energią i szybkością. Obdarzony niezwykłym darem wymowy, ścisły w argumentacyi, w dyskusyi prawie niepokonany, zabierał głos wszędzie, gdzie tego sprawa wymagała. Jemu zawdzięczać należy, że doprowadził do skutku mimo niesłychanej opozycyi obchód ludowy Sobieskiego. Pierwszy rozpoczął składki na przywiezienie zwłok Mickiewicza. Pogromca roczników Towarzystwa Tatrzańskiego, jeden z założycieli Sokoła, Koła literackiego, Towarzystwa oświaty ludowej, raz tylko doznał niepowodzenia przy zakładaniu Towarzystwa wzajemnej pomocy literatów i artystów ze szczególnem uwzględnieniem wdów i sierot po nich pozostałych. Już wszystko przeprowadził, statut zatwierdził, uzyskał poparcie całego dziennikarstwa, a jednak do organizacyi Towarzystwa nie przyszło, bo znalazło się zaledwie trzech czy czterech interesowanych, którzy przed zwołanem walnem zgromadzeniem zapisali się na członków. Fakt to charakterystyczny, tłomaczący dlaczego myśl nieustannie przez lat 20-ścia tułająca się po dziennikach, nie może nigdy w czyn się zamienić.

Najwięcej czasu i pracy poświęcił Bartoszewicz Kołu literacko-artystycznemu, zwłaszcza w pierwszych latach jego istnienia. Kiedy przy samem założeniu tej instytucyi dwa walne zebrania zeszły na czczej dyskusyi nad paru pierwszemi paragrafami statutu, a wskutek tego artyści urządzili secesyę i własne Towarzystwo założyć postanowili, Bartoszewicz w ciągu trzech dni ułagodził umysły, zebrał podpisy na przyjęcie statutu w całości i w ten sposób rozbitą rzecz uratował. Wszystko prawie, czem Koło stanęło wysoko w opinii, wszystkie konkursy, zabieranie przez Koło głosu w sprawie pomnika Mickiewicza, jubileusze Bałuckiego i Bełcikowskiego, przeprowadzenie wreszcie i urządzenie świetnego zjazdu literatów i artystów w roku 1883, było dziełem Bartoszewicza. Przez lat parę urządzał w Kole wieczorki, miewał odczyty, wygłaszał pełne humoru wiersze okolicznościowe itd.

Przystępujemy teraz do nowej fazy działalności Bartoszewicza, na którą autor niniejszej sylwetki patrzał codziennie przez czas dłuższy, podziwiając energię, zdolności redakcyjne, niezmierną łatwość pióra i temperament dziennikarski młodego jubilata. Mamy na myśli wydawnictwo *Kuryera krakowskiego.*

J. B.

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

IV.

Wiadoma rzecz, że zazdrość jest bardzo nie piękną zaletą. Ja też nie zazdroszczę nikomu, więc ani pewnemu — o dużym formacie — dziennikowi sensu, ani „królowej wodewilu“ splendoru występywania w starej budzie p. Gliksona, ani temu panu sukcesów finansowych, jak również nie zazdroszczę słuchaczom odczytu o magii z demonstracyami — silnych wrażeń. Inaczej jednak pewien pan, co przed swem nazwiskiem kładzie dr. pr. a od filologii klasycznej jest specyalistą, który pragnąc rywalizować ze sławą pana X, palnął sobie pogadankę o naszej młodzieży. Według tego pana dr. filologii klasycznej, nasza młodzież to stek zbrodniarzy i najniemoralniejszych ludzi pod słońcem. A jeśli nie mają długich bród i kręconych wąsisków to chyba tylko dlatego, że najstarszy z nich może mieć lat 20, a jeśli za pasem nóż im nie błyska, za to każdy uzbrojony jest w scyzoryk; jacy przytem nieobyczajni! Każden z nich czyta chętnie Bałuckiego lub Dygasińskiego, tych najstraszliwszych pornografów. A profesorowie? Pożal się Boże! Według pana dr. pr. klasycznej filologii to niedołęgi, dający się za nos wodzić uczniom i protekcyoniści niesłychani. A jacy nieporadni, jak za grosz energii w nich nie ma, toż dowodem tego, że mało „palą“, że nie chcą „łamać przyszłości, którą łamać potrzeba“. Brawo panie dr. pr. filologii klasycznej! brawo i tobie panie, co „w wolnych chwilach zajmujesz się pedagogią“, brawo tobie hr. M. i brawo wam wszyscy pogadankowicze!

W Krakowie, mimo wielkiego postu, bawimy się niezgorzej; rauty, koncerty, benefisy, odczyty, nie dają się nam, Krakowianom, nudzić, zwłaszcza, że w święty Józef potańczono sobie trocha w kasynie, o co spłakał się nieborak „Moralizator“ i kazanie palnął kasynu o religijności prawdziwej i sztucznej. Już to przyznać trzeba, że pismo o dwu lokalach a ośmnastu redaktorach zachorowało na apostoła moralności. I tak w artykule „Świątynia sztuki“ ciska gromy na kilka fars francuskich (zgoda na to!) na Sudermana (zgoda z zastrzeżeniem,) na Zalewskiego za jego komedyę „Oj mężczyźni, mężczyźni!“ zapominając, że przed dwoma niespełna laty sztuka ta przez to samo pismo uznaną została jako „znakomita, zabawna, niesłychanie dowcipna i nie przekraczająca nigdzie granic.“

Co za stałość zdania zdumiewająca!

O stałość taką pomówić można jeszcze tylko p. Jakóba Szczęsnego dwojga imion Gliksona, dyrektora naszego teatru, który stale podwaja ceny miejsc, gdy tylko uda mu się ściągnąć jaką Judic, — choćby ta miała lat 50 i resztki zdartego głosu, jaką Gligolatę lub coś w tym guście. Stałością też cechuje się nasza krakowska publiczność, która stale zapycha teatr po brzegi, gdy jakiś obcy szarlatan raczy u nas wystąpić, ta sama publiczność, która na uroczyste przedstawienie ku czci J. I. Kraszewskiego wysłała aż pięćdziesięciu przedstawicieli, która — po za premierą — na oryginalną sztukę nie pójdzie, choćby ta arcydziełem była. Nic też dziwnego, że podczas tegorocznych wyścigów konnych, pan Jakób Szczęsny Glikson, zaangażować ma na występy Ben-Ali-Beja, połykacza szkieł od lampy, oraz jedną exprimabalerinę od Ronachera, a ceny miejsc wynosić będą: loża I piętra 919 złr. aż do 23 złr. za parter, stopniowo. Szczęściem, że dobrze urodzeni wyścigowce, (nie konie, lecz panowie) znajdą dość ojców swych monety w kieszeniach żokiejskiego ubrania.

Nie wiem co to znaczy, ale dziś, w dzień 1-go kwietnia otrzymałem następujące depesze:

Rzym godzina 1 po północy. Służący Szwajcara Watykanu, cierpiąc na bezsenność, zaprenumerował pewne pismo krakowskie o dużym formacie z tytułami.

Bochnia. Złapano tu Jacka (czytaj Dżaka) the Ripper w chwili siadania naj pociąg do Brzeska.

Berlin. Cesarz Wilhelm złożył koronę, Bismark mianowany regentem sześciu królewiczów, p. Stöcker przechodzi na prawosławie i żeni się.

Ciężkowice. Miasto nasze myśli o wodociągach i w tym celu odniosło się do Rady m. Krakowa z prośbą o wskazówki.

Paryż. Zola, Bourget i Catule Mendez odebrali sobie życie przez zaczadzenie, przeczytawszy co na nich popisał krakowski moralizator.

Wiedeń. Poseł Roser wygrał na loteryi bryńskiej terno.

Petersburg. Kozacy tłumnie dezerterują z szeregów i spieszą do Krakowa gdzie ich angażuje pewien mecenas na tył swego powoziku. Obwozić ich będzie od rana do nocy bezpłatnie.

I na tem koniec.

Ale, ale — czy nie zażartował kto sobie przypadkiem z kronikarza? Wszak to dziś prima aprilis.

IVRAP.

PIĘĆ WIECZORÓW.

STUDYUM Z NATURY

CEZAREGO JELLENTY.

(Ciąg dalszy.)

P. Paweł. Jeszcze pytanie, kto z nas dwojga lepszy (całuje długo w rękę, potem przechodzi wyżej, odgarnia rąbek rękawa

i chciwie całuje pulchny łokieć, ramię, potem chwyta Anielę w objęcia i tak stoi z nią przez chwilę długą...

Aniela (zlekka wyrywa się, słania i z przymkniętemi oczyma opiera się o ścianę). Ach, ty mnie zjadasz, odejdź już...

P. Paweł (odedrzwi raz jeszcze przesyła całusa i czyni w powietrzu niemy ruch uścisku)... Dobranoc Wacławie!

Wacław (szybko wybiega na próg). Dobranoc panu, do widzenia, a prosimy do nas.

. . . .

W salonie i jadalni ciemno. Wacław ze świecą w ręku wchodzi do salonu i zabiera z konsoli, stojącej przy ścianie między oknami, popielniczkę i cygara. Wracając dostrzega Anielę siedzącą w fotelu. Zbliża się na palcach.

Wacław. Sądziłem żeś się zdrzemnęła, a ty w najlepsze marzysz o niebieskich migdałach. Ola pewnie już śpi, będzie później narzekała, że ją budzisz.

Aniela. O to mniejsza, ale my mamy jeszcze z sobą rachunki. Zechciej mi wytłómaczyć, co miały na celu owe przytyki i przygryzki o dwu usposobieniach, jakieś wysoce mądre teorye... Mnie by się zdawało, że wobec narzeczonego mógłbyś, ty, taki wielki zwolennik małomówności, oszczędzać mi swoich dyalektycznych popisów..

Wacław. Czy moja wina, że ty zawsze usiłujesz czytać między wierszami. Zresztą przyznasz sama, że teraz już nieco za późno na komentarze i obronę. Dobranoc ci (podaje rękę).

Aniela (zatrzymuje rękę w swojej). Zostań jeszcze chwilkę — ja proszę o to.

Wacław. Po co? chyba, aby znowu stwierdzić prawdziwość mojej teoryi...

Aniela. Wacku, Wacławie, nie obrażaj mię tak. Czego ty mi dokuczasz. Myślałam, że sama pamięć dni spędzonych razem w Kolonii ochroni mię od pocisków twych. Jesteś gorszym, mniej szlachetnym, niż sądziłam.

Wacław. Nie, Anielciu, ja jestem tylko głupszym niż sądziłaś...

Aniela. I znowu gorycz... usiądź przy mnie. (Wacław siada na kanapie przy fotelu).

Milczą oboje.

Wacław (gasi świecę; do pokoju wpada przez firanki światło latarni ulicznej i bieli jednę ze ścian). Już ja widzę, że ty ze mnie, jak wampir, wszystką krew wyssiesz...

Aniela. O nie mów tak do mnie (wstaje i siada przy nim).

Chwila ciszy.

Wacław (gładząc ją po włosach). Twoje włosy tak samo pachną, jak nektar — pamiętasz — kiedy to spoczywaliśmy w altanie bluszczowej nad jeziorem. Mówiłem wówczas, żeś musiała perfumować się jaśminem, a tyś dowiodła mi, że nie (całuje warkocz). Za tydzień (kiwa żałośnie głową) kto inny będzie cię tak pochłaniał okiem i ciałem, jak ja cię teraz pochłaniam całą potęgą duszy mojej, całą mocą żądzy milionów ludzi, stopionej na płynny ołów w biednej piersi mojej...

Aniela (tuląc się do Wacława kibicią). A przecież tyś sam uczył w swojej „Palmie z Miletu“, że nie trzeba zazdrością psuć rzadkich chwil rozkoszy. Sameś dowodził wymownie, że nasza natura miłości i zapomnienia nie skąpi nam, ale my niepotrzebnie obawą reakcyi lub utraty zapału i pragnień, mrozimy sobie najmilsze stany ducha. Po co truć się tem, co będzie za tydzień?

Wacław. Dotknij ręką mojego czoła.

(Aniela całuje go w czoło i całą osobą swoją żar w nim zbudza).

Wacław. Ale nie, połóż dłoń na czole.

Aniela (wykonywa prośbę). I cóż ztąd? zimne jak lód.

Wacław. A wiesz dla czego? Bo twoje ręce są teraz dwoma rozpalonemi węglami, więc dla nich wszystko jest chłodne.

Aniela. Czy ci szło o uprzytomnienie mi tego? Ty i w tej chwili zamiast czuć, analizujesz (drżącym ze wzruszenia szeptem) a lubisz innych oskarżać o wyrachowanie.

Wacław. Nie, moja kochana, nie to miałem na myśli. Otóż wiedz, że jak teraz twoje dłonie są ciepłe, gorące, rozpalone, tak za tydzień cała twa istota dyszeć będzie ogniem, wznieconym przez człowieka, co... przez zwyczajnego samca...

Aniela. Więc cóż każesz mi począć, przecie to mój narzeczony, przecie prędzej czy później za mąż wyjść musiałabym.

Wacław (z goryczą). Musiałabyś, to alfa i omega waszej kobiecej mądrości.

Aniela. Jesteś egzaltowany...

Wacław. O, tak! jestem — powiedz — idjota. Ale czyś zdołała już zapomnieć, że ty sama domagałaś się przyspieszenia ślubu a od zaręczyn swych, twoje oczy zamieniły się w baterye elektryczną, a nóżki, obute w zalotne pantofelki i zalotniejszą pończoszkę, nie mogąc wytrzymać pod spódniczką, raz po raz ciekawie wyglądały na boży świat, zwłaszcza gdy był p. Paweł.

Aniela (raptownie odsuwa się). Wacławie, ty mię obrażasz, tak żaden mężczyzna do uczciwej kobiety nie mówi, ja ci tego nie daruję nigdy! (Zrywa się z kanapy).

Wacław. O moja droga — to wszystko idzie na jeden rachunek. Tak czy owak, jutro w dzień byłabyś lodowcem, uosobieniem rozwagi i trzeźwości, byłabyś ideałem (z naciskiem) rozumnej i cnotliwej panny a pierwsze życzliwsze słówko moje obsypałabyś gradem karcących frazesów i gdybym ci chciał przypomnieć nastrój twój z przed kilku chwil, w żywe oczy wyparłabyś się wszystkiego. O znam ja cię dobrze i dosyć mam tego.

Aniela. Więc jestem obłudną, nieuczciwą, kłamcą... O jak to dobrze, że się raz z tego przeklętego domu wydobędę, za dużo mię twoja gościnność kosztuje!...

Wacław. Nazwij sobie jak chcesz, ja definicyi nie szukam. Ale pragnę, żebyś mnie już przestała uważać za dudka, wierzącego w idealizmy panien. Ja nietylko twój idealizm mam za bajkę, ale i w każdym wyrazie, geście czynie gotowem dopatrywać się zdrady i podejścia. Straciłem wszelką jasność sądu i zamiast jęczeć pod ciężarem wahania i niepewności, wolę zapełnić swą mózgownicę jadem dla siebie i jadem dla ciebie. (Aniela trzyma chusteczkę przy oczach). Nie wierzę niczemu, co z woli twojej wyszło... któż mi zaręczy, że ty dziś jeszcze, przed godziną, przed kwadransem nie przyjmowałaś uścisku Pawła...

Aniela (gwałtownie). Kłamiesz!

Wacław. Być może... Dobranoc ci.

. . . .

(C. d. n.)

TRAGEDYA LUDZKOŚCI.

(Emeryka Madacha.) *)

Literatura węgierska nie ma szczęścia: mniej jest znaną u obcych niżli zasługuje. Winna temu przedewszystkiem zupełna odrębność języka, jakim się ona posługuje. Nie stwierdzono dotąd stanowczo, z jakiego gniazda wywiódł się język węgierski. Jedni przyłączają go do grupy mongolsko-tureckiéj, inni do fińsko-altajskiej. W każdym razie nie ma on nic wspólnego z językami innych cywilizowanych narodów, jest niezrozumiały zarówno dla Słowian, jak dla ludów szczepu germańskiego, lub romańskiego.

Nie dziw tedy, że o piśmiennictwie węgierskiem mamy bardzo skąpe wiadomości z tych niewielu przekładów, które pojawiają się od czasu do czasu, obleczone w język niemiecki lub francuzki. Nazwiska wielkiego liryka Petoefiego i powieściopisarza Jokaja zdobyły sobie dużą popularność; mniej już liczna garstka czytającej publiczności wie ponadto, iż w literaturze węgierskiej dzierży Jan Arany berło epopei, a Katona i Csiky dramatu — o innych głucho i cicho.

A jednak wyliczyćby można wiele nazwisk, mniej zapewne świetnych, lecz bardzo zasłużonych około wspomnianej literatury i zasługujących bądź co bądź na uwagę. Pomyślny rozwój polityczny i ekonomiczny Węgier w ciągu ostatnich lat dwudziestu, nie pozostał bez wpływu także na piśmiennictwo. Okryło się ono nagle obfitem kwieciem, jak łodygą ziół, które wiosna szybsza i cieplejsza niż zwykle, pobudza do przyspieszonej wegetacyi.

W październiku r. 1890 święcono w Węgrzech jubileuszową uroczystość narodowego dramatu. Wśród nazwisk, które najgłośniej i najczęściej dawały się wówczas słyszeć, było wymienione na jednem z miejsc naczelnych nazwisko Emeryka Madacha. Nie wiele dzieł pozostało po nim, a i z tych niewielu, jedno tylko utkwiło silniej w pamięci ogółu, ale też wystarcza ono zupełnie, by swemu autorowi zapewnić nieśmiertelność.

Mam na myśli Madacha: „Tragedyę ludzkości“ wydaną przez Towarzystwo im. Kisfaladyego, w r. 1861, a przełożoną na kilka języków obcych, między innemi czterykrotnie na język niemiecki.

Dzieło to należy do utworów, które formę dramatyczną przybrały bez poddania się ogólnym prawidłom dramatu i które dlatego sceniczne nie są. Autorowi nie szło zresztą o sukcesy na scenie i nie w dramatycznej formie tkwi punkt ciężkości jego „Tragedyi“. Madacha — pisze znakomity tegoż ziomek i druh po lutni, Ludwik Doczi — wyobrażać sobie należy jako węgierskiego magnata, który w pomyślnych wzrosły stosunkach, z własnego popędu nietylko oddał się studyom, lecz nadto samodzielnie zagłębił się w badaniu spraw życia i świata. W jego umyśle spotykamy dziwną mięszaninę rozumowania z marzycielstwem; możnaby go z równą słusznością nazwać rozmarzonym filozofem, jak filozofującym marzycielem. Pomyślna sytuacya majątkowa nie uchroniła jednak Madacha od przejść bardzo przykrych. W r. 1848 dzielił wraz z całym kwiatem swego narodu więzienie. Rząd austryacki osadził go w ciemnicy, jako rewolucyonistę mimo, iż czynnego udziału Madach

*) Czytaj Madacza

w ruchawce nie brał. Całą jego winą było, iż postarał się o fałszywy paszport dla jednego ze skompromitowanych ziomków. W więzieniu oddał się smutnym rozmyślaniom. Były to czasy, w których ogólna wtedy rozpacz jarzmiła Węgrów, odgrywajacych dziś nieraz nazbyt butnie rolę decydującego czynnika w monarchii. Wojsko ich w puch zostało rozbite; tysiące najdzielniejszej młodzieży zaległo trupem pole walki; reszta jęczała w kazamatach, a mienie kraju mieczem i ogniem zniszczone przedstawiało jedną wielką ruinę. Nic dziwnego więc, że Madach zwątpił w lepszą swego kraju przyszłość. Z drugiej strony nie oszczędził mu los także innej boleści, krwawiącej wyłącznie jego tylko serce. Oto żona, zamiast, jak anioł pocieszyciel, stanąć przy boku męża, w tych właśnie ciężkich chwilach sprzeniewierzyła mu się haniebnie.

Pod takiemi to smutnemi auspicyami powstała w Madachu myśl napisania poematu, któryby podobnie, jak „Faust“ Goethego dotknął najważniejszych zagadnień bytu.

* * *

Pesymizm gorzki był źródłem, z którego wypłynęła „Tragedya człowieka“; pesymizm, usprawiedliwiony chyba dostatecznie ciernistą drogą, wytoczoną poecie przez losy.

Pod względem technicznym poemat Madacha stanowi osobliwe zjawisko. Nie znamy utworu, w którymby myśl wielka, prawdziwie natchniona ujętą została w formę równie dyletancką. A jednak owa forma nie zraża czytelnika nawet bardzo surowego; nie brak krytyków poważnych, którzy mimo wspomnianego braku, stawiają „Tragedyę człowieka“ obok „Fausta“ Goethego a ponad „Kainem“ Byrona.

W istocie też założenie poematu świadczy o imponującej potędze umysłu, a ta okoliczność, że poeta ujął w swem dziele całokształt dziejów ludzkości od chwili jej narodzin aż do wygaśnięcia ożywczego ciepła w łonie ziemi, czyni je wysoce oryginalnem.

„Tragedya“ rozpoczyna się w niebie, co prawda, — zupełnie różnem od nieba biblijnego, ale podobnem nieco, jak zresztą cała ta scena, do nieba w Fauście. Akt stworzenia świata dobiegł właśnie do końca. W otoczeniu aniołów, nucących hymny uwielbienia, Bóg raduje się owocem swej pracy. Zaznaczone podobieństwo do sceny w Fauście, uderzające zewnętrznie, nie sięga w głębię myśli. Madach występuje tu głównie jako myśliciel i nie obawia się poddać analizie tego, co Goethe krótko tylko, acz z wielką siłą poetyczną zaznacza.

Niech się toczy
Ten uroczy
Młody świat, co nań patrzymy;
Niech wciąż zmienia
Swe wzruszenia:
Żal i radość — wiosny zimy.
W łasce Bożej
Dąż wciąż skorzej
Bez wahania naprzód, świecie!
Nie bacz na nic!
Myśl bez granic
Jest twem powołaniem przecie.
Blask, mrok szary —
Chłód i żary,
Walk twych mnogość nieprzebrana.
Piekło, eden, —
Wszystko jeden
Ma początek...

„Myśl bez granic“ — „Jeden wszystkiego początek“ —

Prócz aniołów, osobno hołd składają Bogu ich przywódcy, archanieli. Gabryel myśl w nim wielbi, Michał siłę czystą, Rafael — dobroć.

Jedna tylko istota nie bierze udziału w orkiestrze pochwał i uwielbień: Lucyfer. Bóg zwraca się do niego.

W milczeniu stoisz tutaj i w zadumie...
Na mą pochwałę czyż nie znajdziesz słowa?
Czyż nie podoba ci się, co stworzyłem?

Zagadnięty wypowiada sąd swój bez ogródek:

Czy się podoba? Cóż, że w większą całość
Substancye różne zlały się; że jako
Drobniutkie kulki gonią się, by w końcu
W robaczków parze przyjść do świadomości?
Własności tych substancyj sam zapewne
Nie rozpoznałeś, — zresztą... gdyby nawet!
Odmienić ich nie leży już w twej mocy.
Gdy wpadnie kiedyś na trop tych własności
Chemik, — naówczas zdziała on to samo.
Człowieka tyś postawił przy swej kuchni
W kucharza roli albo też kuchcika
I znosić chcesz, by psuł ci twoje dzieło.
Poczekaj, Boga ujrzy on wnet w — sobie!
. . . .
I jaki cel ma całe to stworzenie?
Skomponowałeś samochwalcze pienie,
I każesz grać na lichej katarynce
Po wieki wieków....

A gdy Bóg mu przerywa uwagą:

Śmiesz tylko wielbić mnie, nie krytykować! —

Odpowiada Lucyfer:

Dać tylko mogę, co się mieści we mnie.
. . . .
Czyż nie znasz próżni strasznej, co tak długo
Wszelkiemu bytu zaporą stanęła,
Aż cię zmusiła do spełnienia dzieła?
Nie wiesz, kto zawsze trzymał ją w swej pieczy?
Ja, ów Lucyfer, co wszystkiemu przeczy.
Tyś mnie pokonał, to bowiem ma dola
Zalegać trupem wszystkie bojów pola,
Ale też zaraz z siłą wstawać świeżą...
Stwarzasz materyę — ona mą grabieżą.
Przy życiu staje śmierć na owej scenie,
Przy szczęściu rozpacz, światło rzuca cienie...
Wszędzie się schodzą nasze władze obie
Więc zkądże ja, powiedz, mam hołd złożyć tobie?

Nawet, gdy Bóg go z nieba strąca, Lucyfer urąga mu, wołając:

Powstrzymaj gniew Twój i Twą złość... Pomału!
Obaj my stwórcy... Chcę mego udziału.

Oburzony tem zuchwalstwem, Bóg świata, przeklina dwa drzewa w rajskim ogrodzie i przyznaje takowe duchowi ciemności. Lucyfer zadowala się skromnym darem.

Negacyi punkcik nawet dość mieć, Boże,
Aby wywrócić dzieło Twe w przestworze.

Wypędzeniem Lucyfera z raju przez aniołów kończy się ta scena.

Ponieważ jest ona jedną z piętnastu, wypada więc nam uspokoić czytelnika, iż wyjątkowo ją właśnie postanowiłem streścić jak najobszerniej. Nietylko bowiem punkt wyjścia w „Tragedyi“ uważałem za mój obowiązek jasno określić, lecz uczyniłem to jeszcze z tej przyczyny, że prolog daje nam zaraz u wstępu poznać stanowisko, na jakiem opiera się poeta w swych poglądach na świat. Tz. „pierwiastek ciemności“ nie przedstawia mu się jako złe absolutne. Jego uosobienie, Lucyfer, jest właściwie wcieleniem naturalnego sceptycyzmu, zimnego rozumu, który samemu Bogu śmiało zarzuca, że świat i ludzi stworzył bez dalszego celu, jeno po to, chyba, by być uwielbianym.

W dalszym ciągu myśl ta powtarza się ustawicznie drogą refleksyi. Nieubłagany rozum niweczy wszelkie iluzye, najpiękniejsze rojenia tchem swym mrozi, najwznioślejsze tłumi porywy... St. Rossowski.

(C. d. n.)

DEKADENT-MALARZ

(DIEFENBACH).

(Korespond. „Myśli“).

Wiedeń, 25 marca.

Wiedeń ma teraz swoje grand attraction: Fakira u Ronachera i Diefenbacha w Kunstvereinie. Fakir przekłuwa ciało swoje szpilkami, trzyma ramię bez jęku nad płonącą pochodnią i pożera z apetytem głowy wężów. Lekarze tłómaczą produkcye te w najprostszy sposób siłą woli i — humbugiem, ale publiczność, żądna wrażeń i cudów, płaci swój haracz zabonom.

Diefenbach znowu jest dziwakiem i malarzem, a więcej przyciągają do wystawy jego obrazów dziwactwa artysty, niż sztuka. Zanim obrazy do Wiednia nadeszły, ogłoszono w kilku pismach szczegóły z życia Diefenbacha, które dla jego osoby ogólne obudzić musiały zajęcie. Diefenbach jest wegetaryaninem i kiedy jako chory w szpitalu leżał, i lekarze przepisali mu dyetę mięsną, nic przez dwa dni nie jadł, aż zmusił służbę szpitalną do podania mu strawy roślinnej. Na punkcie stroju, artysta jest nie mniej oryginalnym. W zimie w sandałach, w lecie boso, z głową obnażoną, w ogromnych szarawarach z płótna i w szaraczkowym płaszczu, podobnym do falarów mnichów, przebiegał z powagą i miną proroka ulice Monachium, obojętny na okrzyki pospólstwa, na krytykę uliczników. W naturze tego człowieka, obok ascezy, jest sporo poczucia subjektywnej wyższości, sporo chęci nawracania, prorokowania—jednem słowem pozowania na wybrańca. Wszystko to może być i szczerem przekonaniem Diefenbacha, ale trudno wytłómaczyć tę dwoistość charakteru człowieka, który pustelnicze niemal wiódł życie, karmił się roślinami, własny sobie strój stworzył a zarazem czuł potrzebę stykania się z ludźmi i tworzenia nowej szkoły — kazaniami: „o źródłach nędzy ludzkiej“. W kazaniach tych przed 8 laty już — a więc przed Tołstojem, piorunował przeciw alkoholowi i tytoniowi, przypisując im zatruwanie powolne mózgu i obezwładnianie umysłowych i moralnych sił człowieka. Nie mniej ostro występywał przeciw spożywaniu mięsa, co narobiło wrogów między rzeźnikami a kilku ich posługaczy zamierzyło się raz na niego bat z wozu jadącego ulicą, którą Diefenbach spokojnie przechodził.

Dzięki tym ekscentrycznym poglądom, artysta nie mógł rozwinąć należycie swoich sił. Zajęty problematami życia i tłómacząc je swoją mistyczną metodą, zamieszkał w lesistej samotni w „Höllrigsgreut“ z żoną i dwoma synami: Lucidusem i Heliosem. Nie mając styczności ze światem, obrazów swoich sprzedawać nie mógł i nieraz gorzki cierpiał niedostatek. Wierzyciele zabierali mu najlepsze dzieła i sprzedawali za bezcen. Uczniów również mieć nie mógł; mała ich liczba,

która czas jakiś spędzała w leśnem ustroniu mistrza, musiała przyjąć ten sam sposób życia, co on, zadawalać się pokarmem roślinnym, chodzić boso i bez okrycia głowy, w falarach szarych, z długim na plecy spadającym włosem i długą niestrzyżoną brodą. A i z policyą przyszło do konfliktów. Malarz brał na dachu swego domu kąpiele słoneczne w stroju adamowym wraz z uczniem swoim Höppenerem i synem Heliosem. Oskarżono go o przestępstwo przeciw obyczajności publicznej i mimo protestów i dowodów, że tylko szpiegujący mieszkańców z umysłu żandarm mógł ich dostrzedz w gąszczy leśnej, skazano go na kilkadziesiąt marek grzywny, za zjawienie się zaś boso przed sądem nadto na dalszych 20 marek kary. Ale na tem nie koniec! Sąd orzekł, że zachodzi wątpliwość, czy Diefenbach jest człowiekiem umysłowo zdrowym, nakazał badanie jego stanu umysłowego lekarzom sądowym a Heliosa, syna malarza, odebrał ojcu i oddał pod lepszą opiekę.

Zaczęła się tedy namiętna a bezsilna walka artysty z sądami bawarskiemi, zaostrzona wskutek procesu niepomyślnie zakończonego o rozwód z żoną i wskutek orzeczenia psychiatrów, że badany jest człowiekiem umysłowo zupełnie normalnym.

Do reszty zatruli mu życie wierzyciele, przed którymi uchodzić musiał ze swego ustronia w Hölbriglsgreut. Odtąd stale przebywał w Dorfem koło Wolfratshausen (pod Monachium), gdzie przy pomocy przyjaciela zakupił dom wieśniaka. Dom ten malowidłami swemi zamienił na godny zwiedzenia przybytek sztuki. Zjeżdża też tam sporo ludzi, spragnionych ujrzenia nie tyle obrazów Diefenbacha, ile samego mistrza.

Podobne zainteresowanie obudziło się w Wiedniu. Wystawę dotychczas zwiedziło przeszło 40.000 osób! Mała tylko część tych gości przychodzi oglądać dzieła malarza. Wszyscy prawie z większą uwagą przypatrują się Diefenbachowi, który ciągle bawi w pracowni swej obok wystawy i którego często widzieć można przechodzącego w towarzystwie jakiegoś entuzyasty i czciciela lub reportera z jednej sali do drugiej. Jest to człowiek średniego wzrostu, budowy niekształtnej, rysów bardzo wyrazistych z twarzą ogorzałą, zarostem bujnym barwy brunatnej z odcieniem rudawym. Cera twarzy jest surowa i znać po niej ślady przejść i walk życiowych. Włos długi spada w kędziorach na ramiona, na które zarzucił swój szary płaszcz. Chodzi z powagą, nie oglądając się i najmniejszego nie sprawiając szelestu, nosi bowiem sandały.

Wrażenie, jakie obrazy Diefenbacha w pierwszej chwili na widzu robią, jest potężne. Ale wrażenie to maleje niestety po bliższem rozpatrzeniu się w bogatym zbiorze wystawionych (91) obrazów olejnych, akwarel i szkiców węglem. Przyznać trzeba artyście wielkie poczucie piękna, miłość mistyczną niemal ideałów religijnych i piękności przyrody, zdolność przejęcia się prawdziwie poetycznemi motywami, fantazyę rzadką, ale wszystkim tym cennym przymiotom brak jednego najważniejszego może: władzy równomiernej nad środkami sztuki, techniki, która odpowiadałaby wielkim pomysłom obrazów. Wszelka sztuka trzymać się musi swoich granic; bardzo wielki geniusz może te granice czasem rozszerzyć. Ale ilekroć zdarzy się, że talent wielki w jakiejś dziedzinie sztuki nie znajduje dla swych myśli wyrazu, tylekroć można śmiało powiedzieć, że pomylił się w wyborze środków: zamiast pisać fantazye rymem lub prozą, maluje, zamiast komponować muzykę dla swoich nieokreślonych uczuć, pisze „symboliczne“ wiersze. To spływanie rozmaitych dziedzin sztuki jest zaciemnianiem obszarów piękna, jest upadkiem a nie postępem, jest ubóstwem a nie zbogaceniem twórczości, jest dekadentyzmem. Dekadentem jest też Diefenbach, dekadentem w swoich kazaniach moralnych, w swojem zaklętem kole proroczych reform, któremi ludzkość chce zbawić i dekadentem w swojej twórczości, mimo jej dążeń idealnych. Posłuchajmy, co Diefenbach sam o sobie powiada: „Czasem wyobraźnię moją opanowuje jakoby senny obraz, którego rysy zalewa dalszy sen, coś jakby widzenie śród nocy i mgły i słabemi siłami swojemi staram się odmalować zeń na płótnie, ile mogę. Oby te szkice i wizye zaświadczyły, że ręka, która pędzel trzymała, bliską była serca, kochającego wszystko, co boskie i idealne!

(D. c. n.). Dr. H. M.

MISCELANEA.

*** Uroczystość jubileuszową, ku uczczeniu 300-letniej rocznicy urodzin Jana Amosa Komeńskiego, głośnego humanisty i dydaktyka obchodzono 28 z. m. w Czechach i Niemczech (!) Komeński zamieszkiwał od r. 1628—1656 w Wielkopolsce, gdzie opracował swój słynny system pedagogiczny, oparty na uświadamianiu zasad wychowawczych na podstawie narodowej i w języku ojczystym. Minister dr. Gautsch zakazał młodzieży brać udział w uroczystościach jubileuszowych.

*** *(b.)* Koncert na rzecz budowy domu akademickiego w Krakowie odbył się dnia 21 zm., przy współudziale cenionej śpiewaczki opery lwowskiej: p. Pawlikówny, artystów naszej sceny: p. Dziryt i p. Solskiego oraz chóru akademickiego pod kierunkiem dyr. Barabasza. Atrakcyjnym punktem bogatego programu było odegranie fragmentu dramatycznego pt.: „Mąż-poeta“, dobrze naszym czytelnikom znanego pióra: Kazimierza Tetmajera. Nie mamy zwyczaju darzyć naszych kolegów zdawkową monetą czczych komplementów, powiemy więc tylko, że fragment Tetmajera osnuty jest na nie nowem, co prawda, ale nader zręcznie wyzyskanem tle niezgody dwojga małżonków, (kobietki-mimozy i poety-artysty), która grozi burzą, a rozpływa się w serdecznym, namiętnym uścisku.

W utworze tym niema nic banalnego, niema ckliwości, a za to jest dużo poezyi prawdziwej, nie robionej. Niefałszowany pierwiastek poetyczny najlepiej zaleca fragment Tetmajera, dlatego też pragniemy, aby jaknajprędzej ujrzał światło sceniczne. „Mąż-poeta“ musi być grany doskonale, artyści winni rozumieć poetę. Interpretacya p. Dziryt i p. Solskiego była wcale dobrą i wdzięczną, niewątpimy jednak, że w teatrze będzie jeszcze lepszą. — Koncert wypadł wogóle świetnie a sukces ten zawdzięcza głównie gorliwym zabiegom p. rektora Korczyńskiego, któremu należy się też od młodzieży dank serdeczny.

Z Teatru.

*** Teatr krakowski kocha się, jak wiadomo, od dłuższego czasu w różnego kalibru morderczach, w znakomitych ludziach o stu głowach, w niewiastach, roznoszących chleb, w tingeltangłówkach à la Judic itd. Wina to oczywiście dyrekcyi, ale niemniej winną jest sama publiczność, która popiera błazeńskie farsy i przekwitłe szansonetki, a świeci pustkami na sztukach rzetelnej wartości, zdradzając obok tego zupełny brak pietyzmu dla zasłużonych literaturze swojskiej pisarzy. (Dość wspomnieć o przedstawieniu, ku czci ś. p. Kraszewskiego, na którem było 50 osób.) Fakiry, latający ludzie i magicy mają u nas na zawsze zapewnione powodzenie, bez względu na ustawicznie brzmiący refren: „O ciężkich czasach“. Jest to dobry materyał do nowej edycyi „tajemnic krakowskich“. Jednoaktówka p. L. Madeyskiego, autora „Miodowych miesięcy“ pt.: „Lew sejmowy“ jest utworem udatnym tak pod względem treści, jak i formy. Tło oryginalne, robota zręczna. Rzecz tę grano na benefis zdolnego artysty p. Solskiego.

O komedyi P. Lindau'a pt.: „Dwie Eleonory“, wystawionej na dochód p. Trapszo pisał w nr. 5 „Myśli“ nasz lwowski referent artystyczny (Pseudonim), a na zdanie jego w zupełności się godzimy.

*** W handlu księgarskim ukazała się nowa powieść E. Orzeszkowej pt.: „Bene nati“.

*** P. Adam Nowicki, znany literat, napisał jednoaktową komedyę pt.: „Sen“, która ma być wystawioną w warszawskim teatrze Rozmaitości.

*** Z Poznania donoszą o powodzeniu nowego dramatu p. Wł. Mottego pt.: „W zapasach z losem“. Autor „Demona miłości“ osnuł swój utwór na tle rozbieżności zasad dwojga małżonków, z których: on hołduje radykalnym doktrynom, ona zaś przejętą jest duchem religijnym. O ile autor potrafił ustrzedz się paradoksalności przekonamy się wówczas, gdy dramat ten ujrzy światło kinkietów w Krakowie, co ma wkrótce nastąpić

*** Nakładem ruchliwej księgarni O. Zukerkandla i syna w Złoczowie wychodzi 12 centowa „Biblioteka powszechna“, która ze wszech miar zasługuje na poparcie. Nadesłano nam obecnie 6 książeczek wydawnictwa, które zawierają „Ramoty i Ramotki“ A Wilkońskiego i „Dworzecmego dziadka“ F. Morawskiego. Nakładem tejże firmy wyszły nowele W. Feldmana pt: „Jak w życiu“. Ostatnim poświęcimy obszerniejszą ocenę.

*** Znany tenor opery pragskiej p. Wł. Floryański koncertował w Krakowie na rzecz budowy domu akademickiego.

*** Otwarcie teatru im. hr. Fredry w Stanisławowie pod dyrekcyą L. Kwiecińskiego nastąpi 18 b. m. Odegraną będzie komedya Fredry: „Śluby panieńskie“.

*** Dramat konkursowy Ad. Bełcikowskiego pt.: „U kolebki narodu“ wystawiono 1 bm. po raz pierwszy w teatrze lwowskim. Obszerniejszą ocenę tej interesującej premiery, pióra naszego stałego referenta lwowskiego, pomieścimy w przyszłym numerze „Myśli“.

*** Koncert kompozytorski Wł. Żeleńskiego w Warszawie udał się świetnie. Recenzenci tej miary, co Bogusławski, Kleczyński, Ciechomski i Sygietyński oddają hołd talentowi znakomitego muzyka.

*** Henryk Sienkiewicz pracuje nad dramatem współczesnym i powieścią na tle w. XIV.

*** Dr. Antoni Bołoz Antoniewicz zamieścił w „Kraju“ studyum o powieści H. Sienkiewicza pt. „Bez dogmatu“. O utworze tym autora „Wołodyjowskiego“ napisali większe studya: pani Marrené („Przeg. Tyg.“), Wł. Bogusławski („Gaz. Polsk.“), dr. Rosenzweig i dr. K. Górski („Bibl. Warsz.“).

*** Uroczyste przedstawienie ku uczczeniu 50-tej rocznicy otwarcia teatru hr. Skarbka odbyło się 29 z. m. we Lwowie. Po ślicznym prologu, pióra St. Rossowskiego, odegrano komedyę Fredry: „Śluby panieńskie“ w kostyumach z r. 1842. Widowisko zakończyło się apoteozą fundatora St. hr. Skarbka, układu p. T. Barącza

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.

południowych Niemiec stanie się wyraźniejszy i zachwianą zostanie jedność Rzeszy. Jak widać z tego, ważne czynniki polityczne weszły tu w grę i te zdecydowały upadek projektowi szkolnemu. Teka ministerstwa oświaty dostała się hr. Bosse, sekretarzowi stanu, a prezesem pruskiego gabinetu mianowany został hr. Bothe-Eulenburg, były minister spraw wewnętrznych w gabinecie Bismarka w 87-m roku. Caprivi zatrzymuje sprawy zagraniczne i kanclerstwo. Czy na tem koniec? czy nie okaże się potrzeba rozwiązania parlamentu — przyszłość pokaże. I tak więc pierwsza sprawa, mająca zainaugurować „nowy kurs“ w Prusiech, zbankrutowała z kretesem.

Kwestya zwrotu funduszu welfickiego prawemu ich właścicielowi, funduszu, przez żelaznego kanclerza na niegodziwe a tajne cele używanego, ostatecznie przedstawia się tak. Cały kapitał pozostaje w rękach korony pruskiéj, rozporządzenie używania tych pieniędzy oddaje się sejmowi, książę Cumberland otrzyma zaraz część funduszu, inne sumy, jako własność allodyalną domu Welfickiego w sumie jednego miliona otrzyma następca Jerzego V zaraz, jako wypłatę kapitału. Nieprawdą okazują się pogłoski, jaboby wypłata ta zależną była od zrzeczenia się praw do Hanoweru przez następcę Jerzego V. Że jednak załatwienie téj sprawy inne jest od zamiaru pierwotnego — dowodzi to również chwiejności „nowego kursu“ w Prusiech. —

We Francyi, tak na prowincyi jak w Paryżu, postrachy anarchistyczne szerzą się nieustannie. Obecnie przekonano się, że zamachy dynamitowe, które tak wstrząsnęły opinią publiczną, nie są objawem jakiejś walki antispołecznej, lecz pochodzą od osobistości, które działały na własną rękę w celach zemsty a może rabunku. Policya ujęła głównego sprawcę wybuchu przed koszarami gwardyi. Nazywa się on Roy i ma być dość groźnym anarchistą. W ubiegłym tygodniu podpisał prezydent Carnot dekret, mocą którego każdy, niszczący cudzą własność za pomocą dynamitu, ma być karany śmiercią. Dziwna rzecz, że żywsze oznaki życia anarchii we Francyi i wybuchy miały miejsce zaraz po ustąpieniu sprężystego Constansa. Czyżby w sprawkach tych pogromca Boulangera i boulanżyzmu umaczał palce dla wykazania braku jego na stanowisku ministra spraw wewnętrznych? Tak twierdzą niektóre pisma paryskie.

Od rzeczy, obchodzących nas o tyle, o ile interesować mogą polityczno-społeczne sprawy państw obcych, przejdziemy do kwestyi doniosłego znaczenia, t. j. kwestyi głodowej. Nieurodzaj przyczynia się do wzmożenia wychodźtwa galicyjskiego. W ciągu ostatniego roku rząd brazylijski wykazał wzrost emigracyi o 45,000 dusz. Przeszło półtora miliona Polaków zamieszkuje ziemie nowego świata. Niektóre miasta amerykańskie mają po sto tysięcy mieszkańców Polaków. Wskutek emigracyi cała wschodnia Galicya nie ma rąk do pracy. Jednym z najskuteczniojszych środków zaradzenia złemu byłoby zorganizowanie kredytu połączonego z organizacyą parcelacyjną. Dlatego przyklasnąć należy wnioskowi posła Rutowskiego, który żąda utworzenia w Banku krajowym biura melioracyjnego i parcelacyjnego. Skoro wieśniak będzie miał możność kupienia za tanie pieniądze kawałka ziemi, to porzuci zamiar emigrowania z kraju, zostanie na roli ojczystej, a tem samem nie ulegnie strasznemu losowi wszystkich prawie wychodźców.

Z. P.

DWUTYGODNIK EKONOMICZNY.

Z Dyrekcyi poczt i telegrafów otrzymujemy następujące pismo:

Wedle udzielonych wysokiemu c. k. Ministerstwu handlu wiadomości korzysta Szanowna Publiczność z zaprowadzonego od 1. Grudnia 1891 przewozu pospiesznych posyłek pocztowych do Konstantynopola i Saloniki, ogłoszonego t. u. obwieszczeniem z dnia 29. Listopada 1891 L. 45.537, bardzo mało, co każe przypuszczać, że Szanowna Publiczność o istnieniu tego przewozu nie ma należytej wiadomości.

Wskutek polecenia wysok. c. k. Ministerstwa handlu z dnia 29 Stycznia 1892 L. 4663, zwraca się uwagę Szan. Publiczności na to nowe zaprowadzenie z tym dodatkiem, że c. k. urzędy pocztowe otrzymują równocześnie polecenie, aby pytającym się w tym kierunku udzielały jak najdokładniejszych informacyj.

Lwów dnia Lutego 28 1892.

Treść Numeru:



Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**